Nr. I. Rok II. [1888]

ŚWIATŁO



Ks. Antoni Stabik
proboszcz Michałkowski.

NOWY ROK.

Szybciej niż wietrzyk, co trawkę goni,
Szybciej niż ptasze, co w piosnkę dzwoni,
Leci czas skory: dzień za dniem płynie,
I ani spojrzeć, już rok przeminie.
A jednak w roku jest dzionków tyle,
A w każdym dzionku tak liczne chwile
I takie różne, że czasem chwila,
Błyśnie tak jasna, jak u motyla
Tęczowe skrzydło, tęczą zaświeci,
Mignie radością — i tak przeleci,
Jak wiek motyli. — Czasem znów taka
Żałosna, jak głos nocnego ptaka,
Co o północy huczy po lesie,
Groźnie jak chmura, co burzę niesie,
Blada i smutna, jak błysk gromnicy
W takiej oblecze duszę tęsknicy,
Żeby ze świata zejść była rada.
A z tych splątanych dziwnych kolei
Chwilek radości, bólu, nadziei,
Całe się życie człowieka składa.
I człowiek biedząc, żyje wśród świata,
I liczy, jako mijają lata,
A z końcem roku zawsze do głowy
Myśl idzie: Co rok przyniesie nowy?
A z nowym rokiem napowrót wraca
Ta sama troska, ten znój i praca
I ta, co nie da upaść w niedoli
Święta nadzieja w najświętszej woli.
A z tą nadzieją po rocznym trudzie
Wzajemnie życzą poczciwi ludzie
Z otuchą w duszy, choć ze łzą w oku
Jeden drugiemu: dosiego roku!
Więc życzmyż sobie: niech w przyszłej wiośnie
Boży skowronek nuci radośnie,
Niech drzewa bujne pokryje kwiecie,
Więc życzmyż sobie: niech w przyszłym lecie,
Ziarno posiane zeszłej jesieni,
Pan Bóg w obfite kłosy rozpleni.
Więc życzmyż sobie: niech się zdrowa
Rodzina nasza cały rok chowa
A w sprzecznej losów ludzkich rozterce,
Niechaj od skazy ustrzeże serce;
Niech trwa w miłości, zgodzie i wierze,
I niech do Boga modli się szczerze,
Aby odwracał kielich goryczy,
A dał każdemu, co serce życzy!



Dziecię Maryi.

(Ciąg dalszy.)

Stara ciotka spostrzegła ze złością i zdziwieniem, że baronowa stała się znowu dla Józefiny zupełnie serdeczną. Nie mogła się powstrzymać od tego, aby nie okazać swej złości i postanowiła jak najprędzej dowiedzieć się, co spowodowało tę zmianę.

Hugo nieco był nie zdrów, a troskliwa matka posłała zaraz po lekarza. Wchodząc w dom spotkał się z Józefinę.

Jak się pani miewa? zapytał z przyzwyczajenia. Naraz zamyślił się, jakoby mu przyszła ważna myśl do głowy, i nie czekając na odpowiedź Józefiny, rzekł: zaprowadź mnie pani do baronowej, czy będę mógł z nią mówić? Owszem, odpowiedziała Józefina, mam pana doktora do niej zaprowadzić.

Dzień dobry pani baronowej, rzekł z poufałością przyjaciela domu, jakim jest lekarz stary zwykle. Hugonowi nie wiele brakuje, niech nieco pości, poci się i zażywa leków, to za dwa dni będzie zdrów. Lecz jakże stoi ze sprawą hrabiego-złoczyńcy? Pani wie o czem mówię! Mam twardą starą głowę i nie spocznę, póki czego do końca nie doprowadzę. Czy pani mówiła o tem z panną Józefiną? Cóż powiedziała?

Doktorze, wyznaję, że ani mój mąż, ani ja....

Widzę, że pani składa ciężar na cztery ramiona.

Nie szkodzi. Kiedy państwo rozmowicie się?

Czy jeszcze mamy odgrzebywać tę nieprzyjemną sprawę? zapytała baronowa ze strachem i głosem błagającym

Jeżeli państwo nie chcecie, abym ja całą sprawę wziął w swoje ręce.

Na Boga! nie.

A, pani się mnie boji. To dobrze. Jutro przybędę przed południem do Hugona, a potem do pani po odpowiedź. Do widzenia pani baronowej.

Krótko po doktorze przyszedł do baronowej jej mąż, któremu zaraz opowiedziała co doktor powiedział.

Co musi być, to musi być, odpowiedział spokojnie baron. Będzie nieco hałasu z tego. Zobaczymy co powie panna Józefina. O ile znam to dobre stworzenie, to pokryje całą sprawę płaszczem miłości chrześciańskiej. Nie prawda?

Spodziewam się i życzę sobie tego, westchnęta baronowa.

Co prawda to zasłużył hrabia na to, aby go przed światem ukarać.

Jesteś okropnym człowiekiem, przerwała mu żona.

Tak, może jestem okropniejszy jak piękny hrabia. Lecz trzeba sprawę zakończyć, doktor żąda jutro odpowiedzi. Zaraz pomówimy z Józefiną. Stara ciotka może też być obecną.

Czemu to?

Czemu? Z dwóch przyczyn. Najpierw dla tego, że wszędzie swój nos wtyka, a potem, aby poznała jak nieszlachetnie często szlachta postępuje, i jak tytuł szlachectwa jest głupstwem zewnętrznem, źródłem pychy, rzeczą niechrześciańską i nierozumną.

Ale kochany mężu!

Tak będzie. Idź po pannę Józefinę, ja pójdę po kochaną ciotkę, która będzie szczęśliwa, że zostanie powołana do rady. Na ganku przed domem spotkamy się.

Baron zapukał do izby ciotki i wszedł zapytując się: czy przeszkadzam?

A baronie, to ładnie, że przychodzisz mnie zabawić, bo się strasznie nudzę, proszę usiądź.

Na nudy przynoszę lekarstwo, rzekł baron, zostając przy drzwiach.

Doprawdy? To ładnie. Czy wolno zapytać, jakie to leki?

Owszem! Rada familijna.

Rada familijna! zawołała ciotka, i skoczyła na równe nogi. To wybornie. Jak stary jesteś, baronie? Lecz cóż się pytam, ja jestem najstarsza w rodzinie i będę przewodniczyła. O co chodzi?

Pewna sprawa tycząca się panny Józefiny ma być rozstrzygnięta. Lecz chodźmy, bo czekają na nas.

Ciotka trzęsła się z radości. A więc jej plan się udał! Musiały wyjść na jaw niespodzianie okropne rzeczy, kiedy urządzają radę familijną. Czekaj pyszna, zakochana panienko! Dostaniesz, skoro ja cię będę sądzić.

Tak myślała uradowana stara panna, poprawiając fałszywe włosy pod czepcem, fałszywe zęby w gębie i farbę na swych licach.

Nie dosyć że masz fałszywe serce, lecz oprócz tego i fałszywe włosy, zęby i barwę na licach.

Baronie, podaj mi rękę, przy tej ważnej sprawie czuję podwójnie, że stara szlachecka krew we mnie płynie!

Baron spojrzał z uśmiechem z boku na starą babę, i westchnął.

Józefina i baronowa stały w milczeniu na ganku, kiedy tych dwoje weszło. Ciotka pozdrowiła poważnie baronową, spojrzała na Józefinę z pogardą. Usiedli. Ciotka się oburzyła, że i Józefina usiadła, lecz milczała.

Baron zaczął: jestem zmuszony poruszyć sprawę brzydką i smutną, która się wydarzyła w naszym domu.

Ciotka odsunęła swe krzesełko od Józefiny.

Ciotka zna, mówił baron dalej, krabiego Feodora?

Naturalnie, pochodzi w prostej linji od..

Dajmy dowodom pokój, rzekł baron, nie chodzi o to, od kogo pochodzi, lecz czy ma być stawiony przed sąd.

A cóż tu ta panna ma do roboty, zawołała ciotka z oburzeniem, jeżeli nie chodzi o nią, jak mówiłeś, lecz o hrabiego Feodora? Żądam, aby panna zaraz sobie odeszła.

Niech mi ciotka nie przerywa, odpowiedział baron z gniewem. Chcę i rozkazuję, aby panna tu została, a tu tylko ja mam do rozkazywania. Dla ciotki powtarzam to, o czem my wszyscy dawno wiemy. Hrabia tu był gościem, i zachował się względem panny Józefiny tak, że mu sąd grozi. Jeżeli cnota panny była silniejsza, aniżeli jego podstęp, to nie zmniejsza jego występku.

Ciotka opadła w krzesło jak trup.

Skutkiem wzruszenia panna Józefina popadła w febrę nerwową i znajdowała się pomiędzy życiem a śmiercią. Lekarz oświadczył, że sprawę odda sądowi, jeżeli panna Józefina przystanie na to.

Nie przystanę, zawoła powstając szybko Józefina. Czy wszelki ból, który doznałam ma na nowo odżyć, czy mam przed światem opisać walkę, którą cnota moja stoczyć musiała, czy mam to mówić sędziemu, co z pamięci mojej zgładzić się staram? Na wieki nie! Dosyć było bólu, nie chcę jeszcze raz tego kosztować, było zbyt gorzkie. Przebaczyłam dawno. Serce moje nie zna zemsty innej, jak tylko zemstę modlitwy, aby go Bóg oświecił i na lepsze drogi sprowadził. Taka jest moja wola, proszę ją uszanować.

Szlachetne dziecko! zawołała radośnie baronowa, i uściskała Józefinę, nie pomyliłam się na tobie.

Panno Józefino, rzekł baron z wzruszeniem ściskając jej rękę, ma pani prawo do dzięków całej naszej rodziny. Nie jest pani szlachecką, lecz szlachetną, a to tylko ma znaczenie.

Czy ciotka nie ma słowa podziękowania za to, ża nasz krewny nie stanie przed sądem? Ciotka siedzi jak przybita do stołka.

Baronie, odpowiedziała urażona, uznaję postępowanie panny, lecz nie pozwolę się porwać uczuciom. Mojem zdaniem w radzie familijnej tylko rozum powinien panować i wzgląd na szlachectwo, a nie uczciwość, którą pojmuję, lecz nie pochwalam. Proszę wrócić do spokojnej narady, bo sprawa jeszcze nie skończona. Dobrze, że sprawa nie została do sądu oddana, chociaż panna okazuje wiele samolubstwa przytem, a zresztą wcale nie jest udowodnione, czy panna nie zachęciła hrabiego do takiego postępowania.

Pfe, ciotko, zawołał baron, brzydko mówisz.

Teraz ja proszę mi nie przerywać, odpowiedziała stara. Trzeba jeszcze spowodować pannę, aby milczała o tej sprawie na zawsze. Będzie dobrze, jeżeli zobowiążemy Józefinę podarkiem, ja z mej strone ofiaruję dziesięć reńskich.

Wielmożna pani, odpowiedziała Józefina, odpychając pieniądze rękoma, dotychczas słyszałam z ust pani same obelgi, lecz teraz pani wieńczy swe postępowanie. Odpycham to z oburzeniem, co pani nazywa podarunkiem, a co jest hańbą. Jeżeli uczucie pani nie mówi, jak haniebne jest pani postępowanie, to ja pani to powiem. Że kto chce mi kilku groszami zapłacić mój ból serca, chorobę, zdrowie zrujnowane, to jest po żydowsku, a nie po szlachecku; nie sprzedaję nic z mego życia, mego serca. Jeżeli zaś te grosze mają być nagrodą cnoty, to zasługuje takowa nagroda na pogardę. Będę milczała i bez groszy pani, lecz na obelgi bez końca, ze strony pani, nie mogłam milczeć. Robak deptany krzywi się, honor obrażony kobiety oburza się. Jestem uboga i mieszczańskiego pochodzenia, lecz w ten sposób nie pozwolę się poniżyć, ani bogaczowi, ani szlachcicowi.

Józefina wstała, twarz jej jaśniała majestatem porywającym, skłoniła się lekko i wyszła sobie.

Ciotka w gwałtownym gniewie gniotła jedwabne wstęgi czepka, szare jej, żgające oczy dziko się poruszały. Baronie, zaryczała, żądam zadosyćuczynienia. Haniebnie, żeś pozwolił mnie w ten sposób obrazić.

Baron pochwycił rękę ciotki i rzekł poważnie i spokojnie: ciotko, prawda nie jest obrazą. Co Józefina powiedziała, na to ciotka zupełnie zasłużyła, i jeszcze na więcej. Spodziewam się, że ciotka już dalej Józefiny obrażać nie będzie, bo musiałbym wypełnić obowiązek nie miły. Niech ciotka będzie rozsądna i niech uzna, że pomiędzy szlachtą jest wiele podłych, a pomiędzy nieszlachtą wiele szlachetnych. Pycha ciotki dostała naukę bardzo zasłużoną i zbawienną. O zadosyćuczynieniu tylko takiem mowa być może, że ciotka Józefinę przeprosi. Toby było zadosyćuczynienie dla dziewczęcia mocno obrażonego i dla naszego splamionego szlachectwa.

Ciotka spojrzała na barona tak, jak tylko stare, namiętne dusze spojrzeć umieją, odsunęła gwałtownie nogę i wyleciała. Przyszedłszy do izby swej, rzuciła się na kanapę i oddała się swej wściekłości. A więc to jest koniec mych wszystkich zabiegów, śmiała się gorzko sama do siebie, że jestem poniżona i zawstydzona? A przez kogo? Właśnie przez tę, którą zgubić było mym najwyższym celem i pragnieniem. Głupie przysłowie mówi: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpadnie. Tym razem sprawdziło się; wszystkie strzały, które wymierzyłam, odwróciły się ku mnie, wszystkie sidła, które zastawiłam, zaplątały moje nogi, całe poniżenie, obmyślane dla kogo innego, spadło na mnie. Jestem bezbronna. Feodora nieostróżność wytrąciła mi całą broń z ręki. Jakże umiała wybornie udawać cnotliwą. W gruncie jest cnotliwą, nie można zaprzeczyć. Gdyby w obec innego tak była wystąpiła, nie w obec mnie, tobym jej była przyklasnęła, teraz muszę jej kląć, bo mnie upokorzyła. Feodorze, nienawidzę cię, nie dla tego, że chciałeś zgrzeszyć, lecz dla tego, że dopomogłeś jej do tryumfu, którego jej nie życzę. A jak ostro baron na mnie uderzył. Czy nie stałam przed nim jak dziecko, któremu ojciec mówi: dziecko, ogień parzy, a rózga też. Mówił, abym przeprosiła pannę. Jeżeli słońce stanie się bryłą lodu, jeżeli bydło będzie się paść na rzece, wtenczas szlachcianka upokorzy się przed nieszlachcianką. Toby był ładny widok, przodkowie moji obróciliby się w grobie.

Zapukano. Służący doniósł, że jedzenie na stole. Nie przyjdę, rzekła ciotka. Czy mam jedzenie przynieść do góry? Ośle, przecież nie do stajni.

Nie, westchnął służący, schodząc na dół, jaka to ordynaryjna pani, ta ma siedm djabłów w sobie; pysznego, gniewnego, ordynaryjnego, szpetnego, nudnego, zadrosnego, nienawistnego, skąpego, i — ej, to już ośm djabłów. Toć pewnie więcej, aniżeli tuzin będzie mieszkało w starej babie. No, dziękuję.

Pani nie przyjdzie, rzekł służący, chce, aby jej jedzenie przynieść na górę.

Czy chora? zapytała się baronowa.

Nie, odpowiedział służący, ale grubijańska.

To nic nowego, śmiał się baron, to już dawno wiemy.

Przepraszam, ale człowieka boli, kiedy mu mówią: ośle, przecież jestem człowiekiem jak inni, lecz.... czy mogę powiedzieć!

Powiedz, rzekł baron.

Kończyty nos, kończyta broda; djabeł w nich i niezgoda. Rzekł i wyszedł.

Tak szlachtę szanują, westchnęła baronowa, jeżeli nie jest szacunku godna.

Jeść, jeść! zawołał baron, jestem głodny, już schudłem od czekania. Panno Józefino, usiądź pani pomiędzy mną a żoną moją. W środku cnota, piękność, szlachetna dusza i miłość.

Ale ojcze, biadała Elźbietka, czemu nam bierzesz kochaną panią, nic mi nie będzie smakowało. Lecz cię kocham, bo ty panią kochasz. Jak bardzo ją kochasz?

Tak bardzo, odpowiedział baron i opisał rękoma w powietrzu wielkie koło.

Zaczęto jeść, a baron silnej budowy, wygłodzony chodzeniem około gospodarstwa, jadł za dwóch zawsze, i dobrze mu smakowało.

Gdyby tylko Hugon był z nami! biadała Elźbietka.

Wiesz co, żartował baron, sprowadzę ciotkę.

Nie, nie, tatko. Panna Józefina mówiła, że mam kochać wszystkich ludzi, lecz ciotki nie mogę kochać, ona taka...

Józefina dała znak dziecku oczami.

No, jaką jest zapytał się baron, pilnie zajęty jedzeniem.

Nie mogę powiedzieć, pani zakazała mi oczyma.

Baron spojrzał znacząco na żonę, jakoby chciał powiedzieć: szczęśliwiśmy, skoro dzieci słuchają mignięcia oka. Baronowa zrozumiała męża, ścisnęła rękę Józefinie i rzekła: byłabym szczęśliwa, gdyby pani dokończyła wychowania mych dzieci, lecz lękam się..

Że ja, która się tu czuję szczęśliwą, polecę w świat, pomiędzy ludzi bez serca?

Nie, moje dziecko, lękam się, ktoś nam cię wykradnie, który cię jeszcze szczęśliwszą uczyni, jak tu być możesz. A jednak, jakbym się cieszyła takiemu wypadkowi!

Proszę, rzekła Józefina, o tem nie mówić, chociaż wiele w tem przyjemności, to jednak porusza w sercu ranę nie zabliźnioną skutkiem wyrzeczenia się. Jeżeli pani chce czasem mówić o mym p r z y j a c i e l u Henryku, to chętnie, bardzo chętnie o nim rozmawiać będę. Mam nadzieję, że moje serce zapuści tu w rodzinie pańskiej głębokie korzenie, i że dopiero wtenczas się pożegnamy, skoro wychowanie miłych dziatek zostanie ukończone.

Hugona choroba była gorsza aniżeli lekarz myślał. Nie było wyraźnej choroby, lecz lekarz nie wiedział jak sobie wytłumaczyć coraz większe osłabienie chłopca, bladą twarz, zły humor, męczące poty. Zdawało się, że w chłopcu jest jakiś robak, który gryzie i niszczy jego siłę i zdrowie. Niewiedząc co robić, radził lekarz, jak to często lekarze sobie tem pomagają, aby rodzice zawieźli dziecko do poblizkich kąpieli W., gdzie rocznie tysiące ludzi szukało zdrowia.

Rodzice nie znają ofiary, którejby nie ponieśli dla dzieci, największą dla nich

ofiarą, kiedy nie mogą ponieść tej ofiary, jakiej okoliczności wymagają. Szczęśliwi rodzice, którzy mogą dla dzieci wszystko uczynić, czego potrzeba, którzy nie potrzebują chorego dziecka złożyć na słomie, ogrzać je ustami biadającemi, nakarmić żebranym chlebem. To jest ból prawdziwie okrutny, dręczy i męczy miłość najdelikatniejszą w okropny sposób.

Do wód miała wyjechać cała rodzina, bo lekarz i dla Józefiny radził kąpiele, a baron czuł obowiązek uczynienia wszystkiego, aby Józefinie przywrócić całkowite zdrowie.

Przygotowanie do podróży zamięszało spokój domowy, bo baronostwo chciało wystąpić u wód odpowiednio do swego stanowiska i majątku. W pokojach baronowej szyto i krajano jak w magazynie. Wszędzie było pełno jedwabiu i aksamitu, i owe materye fabryczne podobne do pajęczyny, na jeden dzień. Skrzynki, kufry, pudła, pudełka odchodziły i przychodziły, im bliżej odjazdu, tem większy nieład w domu. Baron dla siebie nie wiele potrzebował, bo postanowił i u wód występować skromnie.

Józefina napisała do Paryża o swej podróży do wód i wypowiedziała obawę, że się tam będzie czuła osamotnioną pomiędzy tylu chorymi rzeczywistymi i udawającymi, bogatymi, lecz oświadczyła, że jej myśli będą tym więcej u tych, których miłuje. Każdą wolną chwilkę przepędzała u Hugona, który mógł w słońcu wychodzić do ogrodu, lecz bardzo słaby i zmęczony opierał się na ramieniu swej dobrej nauczycielki. Elżbietka skakała przed niemi i zrywała najpiękniejsze kwiatki dla braciszka, aby niewinną uciechą wywołać uśmiech na jego ustach.

Ciotka otrzymała wiadomość, że rodzina, do której od baronostwa chciała jechać, jej przyjąć nie może. Dla tego postanowiła też jechać do wód na koszt barona i rzekła do baronowej: uważam sobie za obowiązek, moja droga, nie opuszczać cię w tych dniach, kiedy twoje serce dobre będzie wyczekiwało z niepokojem wyzdrowienia dziecka. Będę dzieliła twoje troski i zmniejszała takowe, o ile będę mogła, jestem przekonana, iż jesteś szczęśliwa, że mnie możesz zabrać ze sobą. Tylko miłość ku tobie i ku twojej rodzinie zniewala mnie do takiej ofiary i wystawiania się na hałas wielkich wód.

Baronowa wcale się nie ucieszyła tej ofiarności ciotki, lecz wiedząc, że są muchy, które tym więcej się naprzykrzają, im więcej się je odgania, uważała, że najlepiej wziąść i ten pakunek ze sobą, choć to najcięższy.

XXVIII.

Powiedziano jest, że trudno bogaczom wnijść do królestwa niebieskiego, i że już otrzymają na tym świecie nagrodę doczesną za dobre uczynki, jeżeli jakie mają. Kto patrzy na życie bogatych, ten widzi, jak prawdziwe są te słowa. Używają świata, ale to używanie jest połączone z tylu pokusami, że tracą czystość i szczęście wewnętrzne, łaskę Boga, a po kilkunastu latach używania zmysłowego, zewnętrznego, muszą po śmierci doznać na sobie wyroku sprawiedliwości boskiej, że na wieki tacy srogo cierpieć muszą, którzy tu na ziemi używali wszystkiego. Ubodzy w prawdzie mają biedę, lecz ta ich chroni od grzechu, łączy z Bogiem, daje przez to szczęście wewnętrzne, szczęśliwość i nagrodę wieczną po kilkunastu latach biedy.

Zimą bogaci bawią się na balach i wieczorkach, a latem wyjeżdżają do wód, gdzie okazują swój przepych, bogactwa popisują się, bawią się, bo mało który albo która jedzie dla poratowania zdrowia, główny cel jest: widzieć i być widzianym.

A więc widzisz u takich wód bogatego spekulanta, bankiera, który ze żoną i córkami przyjechał, aby pokazać swe złoto, aby córki wystawić na targ. Najwięcej jest teraz u wód żydów, ponieważ u nich bogactwa świata się nagromadziły. Potem widzisz u wód różnych sztukmistrzów, śpiewaków i śpiewaczki, którzy swoją sztuką, i jak mogą, zarabiają. Masz tam potem szlachtę czyli wielkich panów, wysokich urzędników i wojskowych, a każdy i każda swoje sztuki pokazują pomiędzy sobą. Przychodzą z całego świata, aby świecić, wabić, bawić się, spekulować, grać w karty, żenić się itd.

Są też i prawdziwie chorzy, którzy na to przyjeżdżają do wód, na co Pan Bóg dał owe podziemne, cudowne źródła wody ciepłej, gorącej, zimnej, dla odzyskania zdrowia przez picie tych wód, lub kąpanie się w nich. Jeżeli chory trafi na wody dla swej choroby stósowne, to one cudownie działają.

Baron przyjechał wieczorem do wód w W. a nie było pogody.

Najęli mieszkanie na uboczu, bo w środku takiego miejsca kąpielowego to gorzej aniżeli na jarmarku. Ciotka była z mieszkania niekontenta, lecz baron jej odpowiedział, że jeżeli chce, to sobie może gdzieindziej nająć pomieszkanie, z czego się jeszcze więcej gniewała, bo jakże chłopiec mógł wyzdrowieć, gdy jej nie było przy nim.

Deszcz przeszkodził iżby Hugon i Józefina rozpoczęli kuracyą, jaką im lekarz kąpielowy przepisał dokładnie. Z wielu lekarzy, jacy się znajdują u takich wód, wybrał baron sobie starszego, poważnego, który nie przesadzał w słowach i czynach, nie udawał, brał wszystko gruntownie.

Z początku nigdzie nie wychodzono pomiędzy gości kąpielowych. Baron wolał chodzić w okolicy po polach i rozmawiać

raczej z rozsądnymi rólnikami, aniżeli z przewrotnymi państwami u wód.

Józefina i dzieci tęskniły za swym domem i swym ogrodem i nie mogły się przyzwyczaić do życia odmiennego. Baronowa całkiem była zajęta chłopcem. Tylko ciotka, która niby miała pielęgnować chorego i pomagać baronowej, latała jak stara motylica po promenadach, salach, czytelniach, czytała spis gości, szukała znajomych. Zwykle wracała późno wieczorem do domu, mimo to zaręczając baronowej, że widzi jak wielką ofiarę poniosła, że z nią przyjechała, lecz że jednak chętnie się poświęca dla rodziny.

Tak przeszedł tydzień. Polepszenia zdrowia naturalnie jeszcze nie było, ani u chłopca ani u Józefiny, która się jeszcze tak smuciła, że nie miała dawno listu ani od matki, ani z Paryża.

Aby się pocieszyć, sama napisała do osób, które kochała.

Po obiedzie poszła z Elżbietką na pocztę, aby listy odnieść. Omijała ulice ludne, lecz jednak musiała przejść przez miejsce, na którem znajdowały się główne hotele i sala przy źródle.

Patrz pani, zawołała Elżbietka, tam znowu przyjechał wielki wóz podróżny. Ogromnie wiele pakunków. Wysiada stary pan, z ponurą twarzą, zapewnie chory. Lecz pani wcale nie patrzy, pani taka poważna.

Józefina nie zważała na szczebiotanie dziecka, lecz aby je zadowolić, wejrzała na wóz, który jej Elżbietka paluszkiem pokazywała. Lecz ledwo spojrzała, a stanęła jak wryta, chwytając rękę dziecka, jakoby chciała się podeprzyć.

Pani chora, taka blada, zawołała Elżbietka ze strachem.

Józefina nie odpowiedziała, lecz ciągle patrzała na wóz.

Nie wiedziała co się dzieje, czy to sen czy na jawie? Pomyłka byłaby zbyt bolesna, rzeczywistość zbyt radosna. Naraz życie w nią znowu wróciło. To oni, zawołała, i ciągnąc Elżbietkę za sobą, pośpieszyła do wozu.

Matyldo, Henryku, dziaduniu! więcej nie mogła wymówić. To ściskała notaryuszową, to ręce podawała Henrykowi i generałowi. Witam, witam, po tysiąc razy, zawołała nareszcie, a łza radości zabłysła w jej oku.

Gdzie pani mieszkasz? zapytał generał po pierwszych przywitaniach, a już mnogo ludzi gapiących się ich otoczyło.

Józefina wymieniła hotel.

Czy tam jeszcze miejsce?

Bardzo wiele, odpowiedziała Józefina.

Dalej, wsiadać! rozkazał generał, wepchnął Matyldę i Henryka do wozu, wsadził Józefinę i Elżbietkę, a potem sam wsiadł.

Lecz teraz powiedźcie mi, zkądżeście przybyli tu? zapytała Józefina.

Bardzo prosto, rzekł Henryk, mile spoglądając na Józefinę.

Matylda i dziaduś mieli jechać do wód, aby odzyskać całkowite zdrowie. Niewiedzieliśmy dokąd jechać. Naraz przychodzi list od pani, że tu będziesz na kuracyi. To znak z nieba, zawołałem, i my też pojedziemy tam dotąd. Lekarz się zgodził na to, i jesteśmy. Tylko dziaduś jakoś nie chciał.

A czemu? zapytała Józefina, podając staremu rękę.

Tak, grymasy, odpowiedział niby żartem. Myślałem sobie, że na starość nie powinienem zbyt daleko oddalać się od domu, bobym może nie znalazł drogi z powrotem, i możeby mnie w niemieckiej ziemi zagrzebano, a jabym chciał leżeć w ojczystej. Lecz Henryk przyparł mnie do muru, i rzekł: o śmierci się nie myśli, jeżeli się jedzie do wód, a przecież naszą Józefinę, tak mówił, zobaczymy. Korzystajmy ze sposobności, bo drugi raz się nie trafi, a serdecznie chciałbym zobaczyć Józefinę. Tak mówił, a ja się broniłem jak taki, który czeka na to, aby go wzięto w niewolę. przyjechałem i gniewałbym się sam na siebie, gdybym tego nie był uczynił. Główną winą naszego przyjazdu jest Henryk, niech pani się z nim wykłóci, jeżeli nasza obecność jest jej nieprzyjemną.

Józefina ukarała młodzieńca spojrzeniem, w którem leżały radosne dzięki za to, co uczynił. Henryk z błogością przyjął do swego radującego się serca promienie tego spojrzenia.

Przyjechano do hotelu. Goście z Paryża kazali sobie dać pokoje, gdzie odpoczęli i przebrali się. Józefina poszła do siebie, aby uspokoić swe rozradowane serce, i jeszcze spokojnie ucieszyć się niespodzianką. Wielka to była i nagła niespodzianka, radość widzenia się, nieopisana w jej duszy, mówiła sobie: tak miało się stać, musieliśmy się jeszcze raz widzieć, nie mogłabym znieść myśli, aby my, którzy się tak bardzo kochamy, już się nigdy nie mieli widzieć. Lecz cóż się stanie ze spokojem mego serca, kiedy jesteśmy znów blisko siebie? Gdyby był mniej szlachetny i cnotliwy, mniej delikatny w swych uczuciach, tobym mniej się obawiała o spokój swej duszy, lecz dla tego jest niebezpiecznym, ponieważ jest całkiem takim, jakim sobie doskonałego mężczyznę wyobrażam.

Kiedy jeszcze był dzikim poganinem czułam odrazę do niego; skoro się stał dobrym, pobożnym chrześcijaninem, pociąga mnie ku niemu. Lecz czy tylko szlachetny charakter mnie tak do niego wiąże? Niechciałabym, aby pomiędzy węzłami, które mnie z nim łączą, był aby jeden, któregoby Bóg nie uznał za dobry i czysty; lecz nie śmiem twierdzić, że tak jest. Nigdy się



Koronacya Jadwigi.

człowiek tak łatwo sam nie myli i tak często, jak przy najwznioślejszem uczuciu miłości.

Na drugi dzień Paryżanie odwiedzili baronostwo, aby tym częściej widywać się z Józefiną, która zaraz była powiedziała baronowej o ich przybyciu. Baronowa uśmiechnęła się na radosne opowiadanie Józefiny, i pogroziła jej palcem.

Józefina unikała z Henrykiem być sam na sam, a ten nie śmiał pójść do niej, jak to czynił kiedy Józefina była u jego siostry.

Dwie rodziny bardzo się zaprzyjaźniły. Generałowi podobał się baron, a notaryuszowej baronowa. Widywano się codziennie i długo, razem odbywano przechadzki, które dla Henryka były udręczeniem. Z grzeczności i przyzwoitości musiał być przy baronowej, serce ciągło go bezustannie ku Józefinie, która zawsze z dziećmi szła naprzód, sercu swemu też gwałt zadając.

Baronowa uważała z upodobaniem szlachetną przyzwoitość Henryka, który w ogóle na nią zrobił najlepsze wrażenie. Kobiety lubią swatać, to też baronowa postanowiła przekonać się, czy bardzo Henryk kocha Józefinę. Kiedy z Henrykiem baronowa została nieco po za drugimi, zaraz zaczęła rozmowę do tego celu zmierzającą.

Pochwaliłeś pan, rzekła, moje dzieci, że takie grzeczne. Jeżeli są takie, to jest zasługą nauczycielki, której szlachetne przymioty odbijają się coraz więcej w moich dzieciach.

Henryk nie wiedział jak daleko może przed baronową chwalić Józefinę, w każdym razie nie chciał powiedzieć tyle ile czuł dla Józefiny, i postanowił być ostróżnym. Odpowiedział więc dość chłodno: nie mogę zaprzeczyć, ta pani ma wielkie zalety, duszę pokrewną wesołym dziatkom, dla tego nie mogła lubić mego bratanka Hieronima, bo to był już zepsuty chłopak.

Pan zdaje się mniemać, że Józefiny charakter tylko stósowny dla małych dzieci, nie dla większych.

Tak jest, jakoby stworzona dla małych dzieci, u nich jej miejsce i powołanie.

Zdaje mi się, że umiała i na dorosłych wywierać wielki wpływ!

Niezawodnie, cnota jej nadzwyczajna stąpająca po drodze pokory pokonała serca, którym z niewinnych lat dziecinnych nic nie było pozostało jak wspomnienie. Lecz nie mówmy o tem, bo popadam skutkiem wspomnień w usposobienie, które nie jest dla każdego zrozumiałe.

Wiem, ile pan zawdzięcza pannie Józefinie.

Nie tylko ja, ale i siotra moja i ojciec, bo i tych przemieniła. Nie wiem, czy już się dowiedziała o nawróceniu się mego ojca, do czego fundament położyła; ojciec sam chciał jej to powiedzieć, i nie pozwolił jej mówić o tem komu innemu.

Pan niezawodnie czci Józefinę wdzięcznem sercem?

Byłoby brzydko, gdybym tego nie uczynił.

Z powodu tej czci równie serdecznej jak delikatnej, niezawodnie rozłączenie z nią było panu bardzo przykre.

Henryk miarkował, że baronowa chce zbadać tajemnicę serca jego, która musiała być jej znana. Józefina musiała jej coś powiedzieć. Lecz co i ile powiedziała? Czy powiedziała nietylko że on ją kocha, lecz że i ona czuje ku niemu miłość wzajemną? O gdybym to wiedział, pomyślał sobie; oto dwóch ciekawych, jeden drugiego tajemnicę chce zbadać. Ja będę otwarty.

Przyznaję, że rozłączenie z Józefiną było dla nas wszystkich bolesnem. Kilka tygodni po odjeździe jej byłem wewnątrz zbolałym i osierociałym, czułem się jak drzewo z liści odarte, któremu najpiękniejsze kwiecie odebrano, jako wygnaniec, jako taki, który marzył o raju, a naraz się obudził w pustyni, jako taki, któremu wyrwano kawał serca, kawał życia.

I to uczucie pan nazywasz wdzięczną czcią?

Tak je nazywam, ponieważ nie wolno mi je nazwać miłością.

A czemu?

Henryk milczał. Tak chętnie byłby usłyszał, że Józefina czuje i myśli tak jak on; lecz teraz kiedy jednem słowem mógł otrzymać odpowiedź na najgorętsze zapytanie serca swego, znowu wszystko zamknął w sobie, ona sama niech mu odpowie na to, z jej ust chciał się dowiedzieć o swej przyszłości, o swem szczęściu lub nieszczęściu.

Skoro się zbliżono do innych, musiano przestać tej rozmowy. Baronowa nie mogła jednak poprzestać dręczyć Henryka, i rzekła: panie Henryku, dziwna rzecz, jak pan unikasz panny Józefiny, mogę zaręczyć panu, że jej towarzystwo jest dobre i zajmujące, i proszę pana, abyś pan zakończył przechadzkę przy boku Józefiny, młody człowiek, a do tego jeszcze Francuz, nie powinien unikać młodej pani, aby jej nie obrazić.

Henryk miał ochotę pocałować baronowej rękę za taką naganę, i za to, że go zakomenderowała do boku Józefiny, tak był szczęśliwym. Ciotka, która wyjątkowo była przy towarzystwie, była oburzona na słowa baronowej, lecz ta jej powiedziała, że są rzeczy, które ciotkę nic nie obchodzą, a do tych należą owe słowa.

Józefina i Henryk szli obok siebie, prowadząc dzieci za ręce.

Czy słyszała pani, co mówiła baronowa? zapytał nieśmiało Henryk, spoglądając badawczo na Józefinę.

Słyszałam, odpowiedziała Józefina, spuszczając oczy. To prawda, pan mnie bardzo omijasz.

Na pozór, zewnętrznie... może. Lecz że to czynię wewnątrz, sercem, myślą, tego pani nie powie; muszę mieć wzgląd na innych, muszę zachować wdzięczność i poddanie się.

Jeżeli fałszywie pana oceniłam, to przepraszam. Powinnam wiedzieć, że pan jesteś zawsze szlachetniejszym, jak się wydajesz, proszę mi przebaczyć.

Henryk nie śmiał wypowiedzieć co miał na sercu. Zwrócił się do Elżbietki i rzekł głaskając dziecko: czy bardzo kochasz swoją panią?

O bardzo, nieskończenie ją kocham, odpowiedziało dziecko serdecznie, lecz mam ciągle strach o nią.

Strach? a czemu? zapytał Henryk, prawdziwie ciekawy.

Nie wiem, czy mogę panu powiedzieć, odpowiedziało dziecko z westchnieniem. To nie mała rzecz, o której mi się śniło.

A o czem ci się śniło, kochana Elżbietko?

Śniło mi się o obcym panu, który prowadził panią w białej sukni do ołtarza, a potem daleko w świat. Proszę, proszę, pomóż mi pan przeciw obcemu, skoro przyjdzie po panią.

Lecz jeżeli ten straszny człowiek będzie mocniejszym odemnie?

O, wstydź się pan, ktoby się bał!

Myślę, że go nie odpędzę skoro przyjdzie.

To nie ładnie, to pana wcale nie kocham.

Ale Elżbietko, upomniała Józefina, zaczynasz być niegrzeczną!

Co? pani jeszcze pomaga temu panu? Wcale pani nie rozumiem. Chodź, Hugonie, po kwiaty, adju, nie dobry panie, adju, surowa pani!

Otóż mamy, śmiał się Henryk za dziećmi odlatującymi. Pani jesteś surowa, a ja nie dobry. Sąd pochodzi od dziecka niewinnego, które często lepiej widzi jak dorośli. Co tu robić?

Poprawmy się, rzekła Józefina z wymuszonym uśmiechem. Lecz nie powiedziałeś mi pan, jak się panu podoba u nas nad Renem?

Podoba mi się i nie podoba. Podobają mi się poważne lasy, majestateczny Ren, i rajskie jego brzegi, żyzne pola, zielone łąki i winnice, sędziwe miasta, Moguncya, Kolonja, Wormacya, Szpir, olbrzymie i wspaniałe ich kościoły, w spokojnym starym majestacie, który uratowały z przeszłości aż do teraz w twardej walce lud poważny, a jednak wesoły, to wszystko mi się podobało. Lecz tym więcej razi i niepodoba mi się jedna rzecz.

A to która?

Niech mi się pani nie pyta o to, co pani pewnie głębiej czuje i więcej nad tem ubolewa, aniżeli ja. Widzę tu naród rozdwojony religijnie, w najważniejszej sprawie. Wiarę widzę katolicką, luterską, ewangielicką, kalwińską, starokatolicką. Ile książąt, tyle wiar różnych i kościołów. To wewnętrzne rozdwojenie musi mieć wpływ na życie rodzinne, w gminie, szkole, w prawodawstwie i wszędzie. To działa na wszystko jak zaraza. Mężowie największego ducha nie mogą tu wiele zdziałać, bo połowa ludu ich nie rozumie, bo innej jest wiary, a każda sprawa opiera się na wierze. Naród rozdwojony nie może być silny, choć ma wojsko i siłę zewnętrzną, lecz to na zawsze nie wystarczy, skoro nie ma siły wewnętrznej, a tej nie ma, gdzie nie ma jednej wiary.

Jeszczeby było pół biedy, rzekła Józefina, gdyby była amerykańska wolność religijna. Gdyby każdemu było wolno żyć według swego zdania i wiary. Lecz patrz pan za owe góry, za nimi jest księstewko, w którem nie mieszka ani szósta część ludzi jak w Paryżu. Wiara jest różna. Jeżeli chodzi o podatki, to nikt nie pyta, czyś ty katolik, czy protestant, tu jest równość. Lecz jeżeli tam ksiądz chciał bez wiedzy policyi mszą św. odprawić, to go żandarmi za granicę odwiodli. Od łoża konających księdza odrywali, jakoby nieszczęście było, gdyby słońce tam patrzało na księdza katolickiego sprawującego swe obowiązki. Śpiewają o jedności, braterstwie, a niejedenby drugiego pożarł z powodu różnicy w religii.

Jako Francuz musiałbym się cieszyć z tego, że takie rozdwojenie pomiędzy Niemcami, lecz jako katolik żałuję tego.

Niemcy są skutkiem religii rozdwojeni od góry do dołu. Tu skarżą się katolicy, że ich uciskają, że ich do urzędów nie przypuszczają, tam protestanci zazdroszczą katolikom. Dawniej tak ostro i niesprawiedliwie się obchodzili w niektórych krajach z katolikami, że się cały człowiek oburzał. Sprawiedliwość i wolność jaką mają zwierzęta, tej nie mieli katolicy w niektórych państewkach. W Meklemburgii jeszcze niedawno wypędzali z kraju tego, kto został katolikiem. Gdzieindziej nie chcieli dać gruntu kawałek pod kościół katolicki, nie wolno było księdzu działać. Nie zawsze wolno klasztory zakładać, ustawy niechętne katolikom, niejeden dobry katolik niedaleko zajdzie. To się nazywało wolnością, równością, sprawiedliwością. A cóż powiedzieć o szkole, do której często kościołowi i rodzicom odjęto wszelkie prawa. Takiej wolności religijnej jaka jest w Anglii, Belgii, Ameryce, nigdzie tu niebyło. Wolność była kłamstwem póki były baryery i żandarmi nie tylko dla handlu, ale i dla katolików, póki się z katolikami obchodzili jako

z ludźmi obcymi całkiem. Nawet socyaliści jeżeli gadają o wolności, to myślą o uwolnieniu się od króla i kościoła, ale nie o wolności życia według zasad chrześcijańskich. Z braku wolności religijnej pochodzi więcej niewiary, bo kościół skrępowany nie mógł należycie walczyć za wiarę, przeciw niewierze. Czas i siły marnował rząd i wielu z obywateli na spory religijne, przez co się osłabili wszyscy.

Tak było i zemną, kiedy byłem we walce sam ze sobą, póki dobre i złe, światło i ciemności, prawda i fałsz walczyły we mnie przeciw sobie. Czy i u ludu zwycięży prawda i łaska, jak u mnie zwyciężyła?

Nie wątpię, bo prawdę można gnębić, lecz nie można jej zabić. Prawda zwycięży, oto codziennie modli się tysiące dusz.

Wtenczasby jeszcze raz tak miło było tu żyć, gdzie z natury tak ładnie.

Czyby pan chciał w Niemczech mieszkać? zapytała Józefina, a serce jej żywiej biło.

Bardzo chętnie.

A gdzie?

Tego nie wiem. Może nad wodami Renu albo u podnóża Alp.

Ojczyzno! byłabyś godna z górami i dolinami swemi, aby on po twej ziemi stąpał.

Stałbym sam w jakim raju, licząc godziny wolno idące, pókiby nie przyszła ostatnia, któraby mnie, przez nikogo niemiłowanego, położyła do grobu.

O nie niemiłowanego, owszem, miłowanego.

Miłowanego? O słodkie słowo, nie puszczę cię, dziecko Maryi, zostaniesz moje na zawsze.

XXIX.

Od tego czasu Henryk był przepełniony miłą nadzieją, wesołość jego rosła codzień, a szczęście jego co godzinę.

Józefina była już znowu tak zdrową, jak dawniej. Pomogły wody, lecz jeszcze więcej pewnie serce i miłość, to najlepsi lekarze. Generał jeszcze nie mówił z Józefiną sam na sam, był dla niej bardzo miłym w towarzystwie, lecz unikał w rozmowie wszystkiego, co się tyczyło Henryka. Józefina czuła to i bardzo jej było przykro, mianowicie kiedy widziała, jak Henryk jej jest oddany w miłości i podziwieniu.

Józefina kąpała się bardzo rano, a potem chodziła na przechadzkę w samotnych alejach. To była dla niej najmilsza godzina, z wyjątkiem tej, w której oddawała się modlitwie i składała swe pragnienia i życzenia w serce Bogarodzicy.

Dziecko nie może serdeczniej i otworciej rozmawiać z matką, jak Józefina czyniła, kiedy w modlitwie przestawała z Maryą Panną. Za każdym razem powstawała od modlitwy wzmocniona i poddana woli Boskiej, bo co Bóg robi, to dobrze zrobione. Marya mnie jeszcze nigdy nie opuściła, ona i teraz mi wskaże drogę najlepszą dla mnie.

Był przepyszny letni poranek, jasny, pogodny, świeży, ziemia oddychała radością, przyjemnością i rozkoszą. Na kwiatach i liściach wisiały perły rosy, lekko ozłocone młodym promieniem słonecznem, ptaszki śpiewały w powietrzu i w krzewach, pełne wesela, jakoby witały pierwszy dzień w raju, a nad ziemią błogo wyglądającą rozciągał się cichy spokój boży z taką miłością, jak w oku macierzyńskiem, które w cichej radości spogląda na sen swego śpiącego niemowlęcia.

Józefina stała sama na jednym z tych chodników, które się ciągną pomiędzy zielenią i radowała się z piękności poranku. Około ręki miała owinięty różaniec, który jej wszędzie towarzyszył jako wierny przyjaciel, dusza jej wznosiła się w modlitwie w owe światłe wysokości, na których nie ma pyłu ziemskiego. W takich chwilach oddawała się całkiem wiecznej miłości, o ile to na świecie być może, która dla tego człowieka tak nieskończenie uszczęśliwia, ponieważ w niej nie ma pomyłki, ani ofiary, ponieważ przez używanie się nie zmniejsza, lecz powiększa,

Zostawmy dobremu dziecku słodką tajemnicę tej chwili, nie pytajmy o czem myślała, co czuła, kiedy Bóg i jej czysta dusza się spotkały, błogosławiony kto używa takich chwil, zuchwały, ktoby je chciał opisać, okrutny, ktoby je chciał zniszczyć.

Nareszcie znowu poczuła, że jeszcze jest na ziemi; ocucił ją chłodny wietrzyk poranny, igrający z jej włosami; spuściła pełen wzrok powoli z nieba ku ziemi i szybko się oddaliła. Nie wiedziała, że oddawna patrzą na nią oczy, i że miała świadka swego cichego uniesienia.

Generał także wyszedł sam na przechadzkę, a opatrzność zaprowadziła go w pobliże Józefiny. Patrzał z cichem podziwem na dziewicę, której piękność była większa aniżeli piękność poranku latowego; kąpał swoją duszę w świetle niebieskiem jej oczu, w których niespodzianie gorące promienie wpadły w jego serce, aby i on uczuł jakiego szczęścia doznaje człowiek, patrząc w niebo.

Przystąpił do Józefiny i podał jej rękę, w milczeniu ją witając. Oko jego więcej powiedziało, aniżeliby słowa wypowiedzieć mogły.

Dziecko Maryi zdziwione zadrżało nieco, lecz wnet rozjaśniło się jej oblicze, a ujmując rękę generała, zawołała najczulszym głosem miłującego serca:

Nareszcie mam pana, niewierny, unikający mnie przyjacielu. Podaj mi pan ramię,

drżę z radości. Jesteśmy doprawdy słabą płcią, ponieważ stoimy pod panowaniem uczuć.

Niech się pani oprze na mem ramieniu, z większą dumą powiodę panią, aniżeli armią zwycięzką.

Dziaduniu, toście za wiele powiedzieli. Gdyby mnie pani nie była nazwała dziaduniem, tobym panią bardzo wyłajał za te słowa, lecz takiemi jesteście dziewczęta, że raniąc, zaraz leczycie.

To wielka pochwała. Daj Boże, aby była prawdziwą. Lecz teraz powiedzcie dziaduniu, dla czego mnie tak bardzo unikaliście? Czym się stała złą albo jadowitą, od kiedy jestem za granicą Francyi? albo czy... lecz tego nie mogę powiedzieć.

Musi pani powiedzieć! zawołał generał.

Albo czy już nie jestem generała miłym koziełkiem? Czy jeszcze generał pamięta, co do mnie pisał, zapraszając mnie do siebie? Ożenić chciał się generał ze mną, mam to czarne na białem; Czy pamięta generał jako mnie często zapraszał do siebie, abym go rozweselała, abym muchy odegnała, tak... tak.... To wszystko poszło w zapomnienie, koziełek znikł, a z generałem chodzi — nauczycielka baronostwa.

Pani umie być bardzo niedobrą, mruczał stary, a przytem jednak pani taka miła, że... ej co tam, zawołał i przetarł sobie usta ręką.

Generał bardzo zły, rzekła Józefina.

A to czemu? jeżeli wolno zapytać.

Ponieważ sobie zamknął usta.

Teraz i to sobie źle tłumaczy!

Nie źle — nie źle, lecz tak jak generał myślał. Nie dziaduniu, tak bardzo swej armii pewno nie kochacie.

Tam jest ławka, usiądźmy. Stojąc z panią wcale nie można walczyć. Józefino, czas, abym wyrzekł poważne słowo. Słuchaj mnie pani spokojnie. Kiedyś przyszła do naszego domu, miałaś źle i my byliśmy złymi. Proszę mi nie przerywać. Pani miałaś najcięższą pracę w całym domu, za którą najmniej otrzymałaś podzięki. Henryk, Matylda i ja wierzyliśmy tylko w siebie i pieniądz swój, sławę i używania swiata. Pani nie stósowała się do nas, ponieważeśmy stali daleko niżej od pani, chociaż w duchu wynosiliśmy się daleko wyżej ponad biedną nauczycielkę. Gdyby pani była dumną, gdyby pani tylko po ludzku była czuła i myślała, toby nami pani była gardziła, kiedy panią pogardzaliśmy. Lecz pani myślała po chrześciańsku. Pani zniżyła się ku nam po stopniach szlachetnego miłosierdzia, aby nas pociągnąć w górę do szczęścia pokornej wiary, prawdziwej miłości. Pani Henryka nawróciła, Matyldę uratowała i mnie pani dla Boga zyskała. Mam wiarę, a mam ją przez panią, pani duszę moją uzdrowiła modlitwą; co pani dla dzieci mych zrobiła, co pani przez swój przykład uczyła, to i we mnie stało się prawdą; wierzę tak, jak pani Henryka nauczyła wiary. Pogodzony z Bogiem, podaję dziś pani rękę. Nie unikałem pani, kiedy wyższa wola nas znowu zbliżyła, z cichem podziwieniem spoglądałem ku pani i nasycałem się niebieskim urokiem, który od pani bije. Uszczęśliwiłaś pani trzech ludzi, łącząc ich na nowo z Bogiem; o nagrodzie doczesnej nie może tu być mowy, to słowo byłoby niegodne i zuchwałe, lecz dziękować, z całego serca dziękować musi pani starzec, któremu pani pokazałaś drogę do nieba, którego dzieci pani uszczęśliwiłaś. Szlachetna dziewico! Żyłaś, bo życie twoje jest zapisane złotemi literami w księdze żywota. Nie wszyscy ludzie mogą to samo o sobie powiedzieć, nie wielu takich jak pani. Józefino, nie jesteś już małym koziełkiem, lecz mojem i rodziny mej Aniołem Stróżem.

Nie zasługuję na takie dzięki, odpowiedziało dziewczę mocno się rumieniąc. Jeżeli się Bogu podobało cząskę swej miłosiernej łaski państwu przezemnie udzielić, to byłam tylko narzędziem w jego ręku. O gdyby to było prawdą, że życie moje zapisane złotemi literami w księdze żywota, tobym głośną radością zakrzyknęła z niewysłowionego szczęścia. Lecz tak nie jest widzicie tylko to niewiele dobrego, co jest' u mnie, Bóg głębiej patrzy, On widzi też moje wady, które są liczne i głęboko zakorzenione. Gdzież tam złote litery, kiedy ja widzę tylko plamy i ciemne miejsca w mej duszy.

Ale na Boga, zawołał generał, kiedy pani tak mówi, która byłaś od dzieciństwa pobożna i wierząca, jaka dla mnie pozostaje nadzieja, który o jedenastej godzinie do Boga się nawróciłem?

Najlepsza nadzieja, kochany dziaduniu, bo Bóg kocha was serdecznie i niewypowiedzianie. Lecz niech mi dziadunio opowie, jaką drogą go Bóg prowadził, abyś Boga poznał, wierzył mu, uznał prawdę i był zbawiony?

Generał ujął rękę Józefiny i patrzał jej głęboko łagodnym wzrokiem we wielkie ciemne oko.

Życie po zamną leżące jest długie i burzliwe. Cień egipskich piramid padał na mnie, piasek puszcz afrykańskich zasypywał mi oczy, słońce włoskie paliło mi ciało, zima moskiewska ścięła mi członki, w Niemczech byłem ranny, spałem na wilgotnym mchu lasów waszych, na śnieżnych wierzchołkach alpejskich, na bagnach i w ciemnych kanałach fortecznych, chleb suchy, twardy, spleśniały był mojem pożywieniem, woda cuchnąca, mętna mojem napojem, febra trzęsła mem ciałem, tysiąc razy i więcej patrzała

mi śmierć w oczy podczas gradu kul, opuściłem dom rodzinny i rodzinę, i byłem ubogi mimo bogactwa, a to wszystko, aby ofiarować bożkowi, którego jedynie uważałem za życie i prawdę, bożkowi sławy. Całe życie mu oddałem, poniosłem ofiary nadzwyczajne, przeciwne wszystkiemu co nam się podoba, ofiary mogące być porównane z niedogodnościami pustelników. A koniec wszystkiego? Zostałem generałem, lecz to mi nie wystarczało, marzyłem o marszałkostwie a ciało me zniszczone, i już się ukazują w niem zwiastuny śmierci, po zamną leży życie podobne do snów gorączkowych we febrze, które rzadko rozjaśnia miłosierny promień czystej, szlachetnej radości, marzyłem o sławie nieśmiertelnej, a jestem już przed śmiercią zapomniany, chciałem być wielkim a stałem się małym, starym, zużytym, wyszczerbionym mieczem zardzewiałym. Z początku walczyłem przeciw uczuciom dumy upokorzonej, widziałem, że jestem kruchą ruiną, lecz nie chciałem wierzyć temu, czułem czasem jak śmierć pukała do mego życia i ciała i wściekałem się. Schowałem się jako lew zraniony, rozgniewany, który liże swe blizny, a wysysa swe rany; z pogardą patrzałem na życie i gonitwy ludzi, głupcami zdawali mi się wszyscy ludzie, z których każdy innemu bożkowi kadzi, i głupcami bożki wszystkie, którym te ofiary składano. Kiedy słyszałem z wież kościołów uroczyste dzwonienie, wielka gorycz napełniała serce me; byłbym chciał skruszyć wszystkie te spiżowe języki, które miały niby wlać w serce ludzkie spokój i wiarę, które dla mnie były niezrozumiałe, i których nienawidziłem, ponieważ ich pojąć nie mogłem. Wtem pani przybyła do nas.

Kiedym widział panią po pierwszy raz, wpadł promień z duszy pani w moją duszę, poznałem, że jeszcze są ludzie prawdziwie szczęśliwi. Żem to poznał, już było wielkim zyskiem dla mnie. Widziałem panią ubogą, oddaloną od ojczyzny i rodziny, pomiędzy obcymi, którzy pani mało miłości okazywali, w stosunkach zależnych, a jednak szczęśliwą. Tymczasem Henryk coraz więcej dostawał się pod moc i wpływ pani, ów Henryk, który nikogo i nic nad sobą uznać nie chciał krom swej woli, który innym wpływom nie ulegał jak zabawom i zmysłowym rozkoszom. Mój syn, równie jak ojciec, przeczył wszystkiemu co wieczne, równie czuł się wewnątrz próżnym i rozdwojonym, chciał zapełnić próżne serce rozkoszą zmysłową i błędną a zarozumiałą mądrością ludzką. Bystrem okiem śledziłem nowe drogi mego syna i postanowiłem, że go raczej silną dłonią wepchnę w dawniejsze życie, aniżeliby miał zostać nabożnisiem smutnym, wszystko ganiącym i potępiającym. Lecz chociaż drogi nasze się coraz więcej rozchodziły, chociaż zdania nasze ostro przeciw sobie stały, to nie mógłem niczego w nim znaleść, coby nie było szlachetne i wzniosłe: Henryk okazywał się od dnia do dnia w czyściejszem świetle, zyskał u mnie miłość, która była większą aniżeli zwyczajna miłość ojca do syna, miłość połączoną ze czcią i podziwieniem.

Kiedy pani opuściła naszą rodzinę, Henryk już był całkiem zmieniony, a Matylda była bliską celu, do którego Henryk doszedł z całą siłą. Poczułem, że pomiędzy mną a memi dziećmi nie ma harmonii, że nas coś rozłącza, i że ja temu winien. Gdyby mnie byli odepchnęli od siebie i potępili moją niewiarę w słowach ostrych i twardych, tobym pewnie nigdy nie był wiary odzyskał; lecz o ile sami wnikali w ducha prawdziwego chrześciańśtwa, rosła ich miłość ku mnie, delikatna a jednak potężna, tak że prawie mimowolnie poddałem się pod ich wpływ, ciesząc się z pewną zazdrością z ich cichego, głębokiego szczęścia. Pewnego razu rzekł Henryk do mnie:

Ojcze, moje szczęście dopiero wtedy będzie zupełne, kiedy ty je ze mną dzielić będziesz.

Odwróciłem się od niego z niechęcią, choć czułem, że wyrzekł słowo prawdziwe i dobre, lecz że, jeżeli chcę osiągnąć to, muszę stoczyć ogromną walkę ze sobą. Henryk żądał, abym odmawiał tę samą modlitwę, która była początkiem jego nawrócenia. Broniłem się więcej na oko, aniżeli rzeczywiście.

Ojcze, co te słowa wypowiadają, to jest prawdą, rzekł Henryk do mnie.

Przeczytałem i nie znalazłem nic, coby mnie raziło. Często chwytałem ów papier, kiedy w samotnych godzinach mnie dręczyła niechęć i niesmak duszy, coraz więcej podobała się sercu memu i stawała mi się potrzebą. W tych słowach wielkiego Bernarda leży cała historya ludzkiej niedoli i wybawienia. Stoczyłem ciężką walkę, a im wściekłej duma i zepsuta natura ludzka we mnie się oburzała, tem słodsza stawała mi się każda prawda, którą krok za krokiem zdobywałem. Henryka przyjaciel, sędziwy kapłan, był i moim nauczycielem, lecz obraz pani zawsze towarzyszył mej duszy, coraz jaśniejsze i wyraźniejsze stawało się wspomnienie pani, słowa i czyny pani, wnet doszedłem tak daleko, że ani się cofnąć nie mógłem, ani chciałem. Teraźniejsze moje szczęście kosztowało mnie wiele walki i pracy, musiałem porzucić przyzwyczajenia, tak stare jak ja, które były tak głęboko zakorzenione, iż się zdawało, że nie mogą być zniszczone. Jednak je przełamałem, kiedy zapierając się samego siebie i niszcząc samego siebie, klęczałem przed kapłanem, aby swoje grzechy wyznać. Bóg sam wie, ile mnie to

zaparcie się samego siebie kosztowało; lecz równie wielka jak walka, była nagroda; bo ze szczęściem w sercu, o jakiem przedtem nie miałem pojęcia, odszedłem oczyszczony i rozgrzeszony od sądu sakramentalnego, nowy, szczęśliwy człowiek, którego życie, nadzieja i miłość nie kończy się z grobem, lecz sięga we wieczność. Pani, szlachetne dziecko, położyłaś fundament do szczęścia trojga ludzi, tyś, apostołka pokoju, przyniosłaś nam pókój, tyś nas przez Maryą doprowadziła do Boga.

Drogi Boga są cudowne, rzekla po cichu jak w błogiem śnie dziewica. Jakże często, niezliczone razy od najpierwszych lat życia czerpałam z tej modlitwy siłę i pociechę, lecz nigdy nie byłabym sobie pomyślała, że miłosierdzie Boskie wybierze mię do tego, abym tę modlitwę włożyła do serc, które się tak bardzo od Niego oddaliły, a które jednak przez tę modlitwę miały odnaleść Boga i niebo. To mi jest nowym powodem, abym całą moją nadzieję położyła w tej, która była moją miłością od początku, w Maryi, matce miłosierdzia. Czuję się tak szczęśliwą, dodała głęboko oddychając, tak mi jest, jakoby Bóg duszę moją pocałował, pierś moja jest pełna niebieskiej błogości, serce moje pełne najczystszej radości.

I czy nic do szczęścia pani nie brakuje? zapytał się generał nieśmiało dosyć.

Nic, zgoła nic. Skoro promienie szczęścia w całej pełni i czystości z nieba spadają w serce człowieka, wtenczas znikają te życzenia, które nie należą do nieba, jako mgła znika przed słońcem; inne życie i chcenie nie z tego świata, wznosi się, podobnie jak orzeł, który tak wysoko wznosi się ku niebu, że wszystko pod nim znika i traci kształt i formę.

A czy znikują też życzenia najmilsze a sprawiedliwe?

Wszystkie, bo ta dusza, która się znajduje w cieniu woli boskiej, nie ma własnej woli.

Czy pani zawsze tak myślała?

Niestety nie zawsze; miałam niejedno gorące życzenie w tem życiu, lecz psuło mój spokój, bo nigdy życzenia nasze nie spełniają się zupełnie. Mój drogi panie generale, człowieka szczęście nie polega na posiadaniu, lecz na odmawianiu sobie życzeń, to robi Bogu miejsce w sercu, tam to dzieli serce.

Pani jesteś zbyt surowa dla siebie, Bóg się dla tego od pani nie odwróci, jeżeli pani da miejsce w sercu uczuciom, które nie mogą być nieszlachetne, skoro im pani da miejsce w swem sercu. Dla tego powtarzam zapytanie, czy nie ma pani w sercu cichego pragnienia, które nie jest zaspokojone?

Józefina bardzo dobrze rozumiała generała, że mówił o miłości do Henryka, lecz dziewczę miało tyle szlachetnej dumy, że, kiedy ją dawniej odrzucono, to teraz nie chciała przyjąć tego jako jałmużnę, co nigdy nie powinno być jałmużną. Podniosła się i rzekła drzącym głosem:

Obowiązek woła mnie do domu; otóż tam idzie ciotka baronowej, niezawodnie po mnie. Drogi panie generale, do widzenia, lecz proszę więcej nie mówić o życzeniach serca, i one mają swój grób, jak ciała ludzkie.

Generał ze łzawem okiem patrzał za dziewczęciem odchodzącem, serce i oko było pełne podziwienia. Wiedział, co się w niej dzieje; wiedział, jak serdecznie a jednak jak delikatnie miłują się Henryk i Józefina, tem wyższe i więcej niepojęte zdawało mu się postępowanie dziewczęcia. Nie spostrzegł wcale, że ciotka stoi przed nim, badawczem okiem na niego spoglądając.

Generale, rzekła obrażona, zapominasz, że jesteś Francuzem i żołnierzem, bo nie jesteś grzecznym dla dam. Musiało się panu coś nadzwyczajnego zdarzyć, ani się pan ze mną nie przywitałeś, czy pana rozgniewała pyszna dziewczyna, nauczycielka dzieci mej krewnej? Toby nie bylo nic dziwnego, bo jest dość zuchwała ta mieszczanka.

Generał gniewnie patrzał na ciotkę i zdawało mu się, że przedtem widział anioła, a teraz djabła, namiętność w postaci człowieka.

Właśnie ponieważ jestem Francuzem i żołnierzem poświęciłem moją uwagę dziewicy, którą podziwiam z powodu jej cnót. Pani ze zadziwieniem patrzysz na mnie, ponieważ nie wiesz tego, co ja wiem.

To mnie dziwi, rzekła ciotka, siadając obok generała. Może się panu podoba, bo jest młoda i dosyć ładna, umie ładnie mówić, jest grzeczna i miła, jeżeli chce. Nie przeczę temu, że Józefina ma coś zajmującego, lecz jeżeli kto tak jak ja sądzi bez względu na uczucia i wrażenia, ten nie sądzi z powierzchowności, lecz według czynów, i dla tego nie ma odrazy, broń Boże, lecz litość nad Józefiną. Lecz nie chciałam mówić z panem o Józefinie, lecz o zabawie wspaniałej, jaką wczoraj urządziła księżna dla znajomych.

Przepraszam, że dziękuję za to opowiadanie, zabawy już dawno mnie nie interesują, niech mi pani powie, z jakich powodów pani lituje się nad Józefiną.

Jeżeli to pana interesuje, to chętnie użyczę wiadomości, rzekła ciotka, jakoby sobie z tego nic nie robiła, lecz w sercu się ciesząc, że może szkodzić Józefinie. Przypadkiem dowiedziałam się, że Józefina prowadzi miłostki, bo tak trzeba nazwać takie sprawy w mieszczańskim stanie. To jest

bardzo niestósowne dla dziewczyny w położeniu Józefiny, nawet nierzetelnie, bo kto ręczy za to, że przez to naszej rodzinie na sławie nie szkodzi.

Czy to pani wie na pewno, co pani mówi? zapytał generał z niedowierzaniem.

Generale, zawołała ciotka, czy pan myśli, że gadam na wiatr?

A kogo Józefina kocha? Jakie zajmuje stanowisko? Jakie ma nadzieje? Gdzie żyje? Jak się nazywa?

Boże! pan tyle się pyta, że tylko Józefina mogłaby na to odpowiedzieć. Niech pan tego odemnie nie żąda.

Generał patrzał poważnie przed siebie, nie mógł temu wierzyć, co słyszał, lecz niepodobieństwem to nie było. Czemu nie miałby się kto w Józefinie pokochać, kiedy była tak bardzo miłości godna? Czy może dla tego przedtem zerwała z nim rozmowę, ponieważ jej już nie było miło, a może nieprzyjemnie przypominać sobie Henryka? Lecz czy można było wierzyć ciotce? Ciotki to na całym świecie w sprawach miłosnych największe plotkarki, wszystko przekręcą, podsłuchają, powiększą.

Zobaczę, rzekł generał mocnym głosem, czy będę mógł pani być wdzięcznym za tę wiadomość, wcale mi nie obojętną. Znam Józefinę tak dobrze, że zdaję mi się, że do takich rzeczy nie jest zdolna.

Ach, tam idzie księżna, rzekła ciotka, zapewnie mnie szuka, bo kogoby szukała. Do widzenia generale.

Stary pozostał przez pewien czas na miejscu ze założonemi rękoma, zamyślony.

Słońce już wysoko było na niebie, gorące pocałunki zesałając na ziemię, zniknęły świecące się krople rosy, ptaszki zamilkły i poleciały szukać chłodu w lecie. Na chodnikach coraz się stawało żywiej i głośniej, bo napełniały się gośćmi, których główną chorobą nudy i próżniactwo, którzy na to wycierali sobie sen z oczu, aby mogli tym lepiej spać po obiedzie.

Generał opuścił promenadę i wyszedł na łąki zielone. Duch jego szukał pokoju w naturze, która jest lepsza aniżeli ludzie, nie prześladuje i nie rani, nie zna zazdrości, obmowy, lecz która, będąc dziełem nieskończonej wszechmocy i miłości, jest znowu zwierciadłem miłości i wszechmocy, a w której człowiek czuje z błogością, że Bóg jest bliskim.

(Dokończenie nastąpi.)

Módl się i wierz w Boga.

Gdy błyśnie jasność słońca tak błoga,
Wszystko na świecie uwielbia Boga,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz! wstają z gniazdek ptaszyny małe,
Oddają Bogu śpiewem swym chwałę;
A ty człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz tam na niwie chyli się zboże,
Pokłonem Boga chwali w pokorze,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz! jak tam trawy z perłami rosy
Z schylonym czołem wielbią niebiosy,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz! jak tam kwiatki główki podnoszą,
I wonią swoją Bogu cześć głoszą,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz! tam znów dalej, jak się las kłania,
Bo szmerem liści modły podzwania,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

Patrz! tam na łące strumyczek mruczy,
On cię modlitwy mruczeniem uczy,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Bogu modlić?...

I chociaż czasem burza zawyje,
To uwielbienie ku niebu bije,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

I wszystko z bliska i wszystko w dali,
W pokorze Boga bez końca chwali,
A ty, człeku, chcesz się spodlić,
Nie chcesz się do Boga modlić?...

O módl się, człeku, za darów tyle,
Których ci nie brak ani na chwilę;
Sław więc Boga uwielbieniem,
Boś najwyższem ty stworzeniem!

A gdy twe serce źli pragną spodlić,
Że się do Boga nie trzeba modlić,
Ty upadniej na kolana,
Za siebie, za nich proś, Pana!

Modlitwą pracę odznaczaj czynną,
Miej czyste serce, duszę niewinną,
Bliźniego kochaj jak siebie,
Będzie ci tutaj jak w niebie!

Nie dla światowej działaj pochwały,
Boć przebieg życia krótki i mały,
A gdy życie źle przeżyłeś,
Bóg ci powie — kim ty byłeś!

Módl się i pracuj do zawarcia powiek,
Boś obraz Boży, boś ty jest człowiek!
Wierz w Boga, bądź złego wrogiem,
Bóg jest, był i będzie Bogiem!

Święci Trzech Królowie.

(Z ryciną.)

Przyjście Zbawiciela na świat porusza niebo i ziemię, bo przyszedł On na to, aby spłacić dług ludzki Bogu i uczynić nas godnymi towarzyszami aniołów. Cieszą się też duchy niebieskie, wyśpiewując nad żłobkiem betleemskiem:

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

Niedostawało jeszcze przedstawicieli pogan, których była niezmierna liczba, bo zamieszkiwali ziemię całą.

Bóg atoli powołał i ich do stóp narodzonego Zbawiciela, bo oto trzech pogańskich królów z ziemi Chaldejskiej przybyło do maleńkiego Jezusa pokłon Mu oddać.

Śliczny kraj Chaldejski, rozciagający się



Nie sami aniołowie chcą się jednak radować, pragną jeszcze podzielić się szczęściem z ludźmi, oznajmują więc narodzenie Chrystusa pobożnym pastuszkom i zachęcają ich, aby spieszyli powitać Boga, który stał się człowiekiem. Pasterze ci, jako żydzi, byli przedstawicielami narodu izraelskiego. Niebo i naród żydowski złożył więc hołd Chrystusowi Panu.

pomiędzy dwiema rzekami wielkiemi, Tygrem i Eufratem, słynął od dawna z ludzi biegłych w astronomii (poznawaniu gwiazd) którzy musieli dobrze potrafić oznaczyć według biegu gwiazd pory roku, aby naprzód wiedzieć, kiedy rzeka Eufrat wylewa. Deszcze tam bowiem nie padały, tylko woda z rzeki rozlewając się, użyzniała pola, a kiedy to miało nastąpić, wszyscy musieli

dokładnie wiedzieć naprzód. Nawet pasterze strzegący trzód swoich, w nocy zwracali uwagę na bieg gwiazd i według nich stósowali swe zajęcia.

Uczeni zaś Chaldejczycy robili różne spostrzeżenia i dokładnie poznawali bieg i kierunek każdej gwiazdy.

Żydzi zapędzeni w niewolę do miasta Babilonu, naówczas stolicy Chaldei, zabrali tam ze sobą księgi święte, w których wyraźnie stało, iż kiedy Izraelici, błądzący wiele lat po puszczy, zbliżali się do ziemi obiecanej, przerażony król pogański, Balaak, przywołał wieszcza Balaama i rozkazał mu, aby w imieniu bożków pogańskich przeklął żydowskich przybyszów. Ten zaś zamiast przekląć ich, począł głosić błogosławieństwa na żydów i przepowiedział:

„Wyjdzie gwiazda z żydów, pokolenia Jakóba.“ Co miało znaczyć: przyjdzie zbawienie narodu z pokolenia Jakóbowego, które ogłoszone będzie przez gwiazdę nadzwyczajną.

Gdy się też Jezus Chrystus narodził, ukazała się też w owych stronach niezwykła gwiazda, która zwróciła uwagę pogańskich mędrców. Nie świeciła ona wysoko jak inne, na firmamencie, lecz znacznie niżej. A podczas gdy wszystkie światła niebieskie krążą ze wschodu na zachód, ona biegła z północy ku południowi.

Święty Ignacy męczennik powiada, że ta gwiazda tak wielki miała blask, że jej słońce nie potrafiło zaćmić i równie w dzień jak w nocy świeciła.

Zobaczywszy tę gwiazdę święci trzej Mędrcy i przejrzawszy księgi, domyślili się, że dziwne to światło oznacza przyjście Mesyasza. Udali się też za wskazówką gwiazdy, ażeby Go odszukać i hołd złożyć należny.

Godnem jest uwagi, że do prostych pastuszków zsyła Bóg aniołów, a do królów cudowny znak niebieski. Łatwo to objaśnić, bo pasterze pochodzili z narodu, który zawsze wierzył w jednego Boga, a królowie ci mieszkali pomiędzy poganami nieznającemi swego Stwórcy. Dla tego święty Paweł apostoł powiada, że proroctwa są dla wiernych, a cuda dla niewiernych.

Nie wiedząc wcale o sobie trzej królowie, szli oddzielnie każdy za wskazówką gwiazdy, która stawała gdy odpoczywali, a poruszała się, gdy podróżowali. Niedaleko Jerozolimy zeszli się ze sobą, a gdy weszli do miasta, gwiazda im znikła.

W Jerozolimie, gdzie dawniej król Dawid przy dźwiękach harfy wdzięcznie wyśpiewywał chwałę Bożą, a lud wszystek wielbił Pana, rozlegały się natenczas bałwochwalcze wrzaski. Dawniejsi czciciele Boga prawdziwego porzucili zakon Pański i oddali się nieprawości i nędznej mamonie, a niezadługo mieli dopełnić miary swej zbrodni, bo przybić do krzyża Zbawiciela swojego. Święci Trzej Królowie nie wiedzieli o tem, a sądząc, że stanęli u celu swej podróży, wstąpili na dwór króla Heroda i zapytali: „Gdzie jest nowonarodzony król żydowski“.

Takie pytanie dziwnem się zdawało Herodowi, gdyż on wtenczas panował w ziemi żydowskiej i miał synów, których chciał poczynić królami. Wiedząc zaś, że oczekiwano Messyasza, o którym sądził, że zawładnie światem, a przeto pozbawi go tronu, zatrworzył się bezbożnik i wszyscy podobni mu w Jerozolimie z nim.

Wtenczas już więc powziął zamiar zgładzenia ze świata tego nowonarodzonego Króla, chodziło mu więc o to, aby dowiedzieć się gdzie się znajduje dzieciątko Jezus. Kapłani, których przywołano, objaśnili Heroda, że prorok Micheasz naznacza Betleem jako to miejsce, gdzie się Messyasz miał urodzić, mówiąc:

„I ty Betleem, ziemio judzka, z żadnej miary nie jesteś najpodlejsze, albowiem z ciebie wynijdzie wódz, który będzie rządził ludem moim Izraelskim.“

Jakie to godne uwagi, że poganie, a nie żydzi, ogłaszają Chrystusa w żłobku Królem i poganin Piłat daje mu ten tytuł na krzyżu, podczas gdy żydzi uznać Go za takiego nie chcieli, chociaż mieli wyraźne proroctwa i wiedzieli, że się już spełniły.

Gdy Mędrcy wyszli za Jerozolimę, znów się im ukazała gwiazda, która ich poprowadziła aż do Betleem, gdzie stanęła nad grotą. Tu, jak powiada św. Maksym, zatrzęsła się i rozproszyła, dając znać, że przewodnictwo swe spełniła.

Królowie weszli do groty i w małej dziecinie uznali Syna Bożego, a upadłszy, pokłonili Mu się. Nie zraziło ich ubóstwo Chrystusa, bo dobrze wiedzieli, że u Boga jedno znaczy, czy barłóg, czy klejnoty i drogie kamienie.

Jakże Ty Boże potężny jesteś, gdy nędzą na się przyjętą pociągasz ku sobie prawdziwych mędrców, a bogacze złotem obsypani korzą się przed ubóstwem Twojem.

Trzej Królowie otworzywszy skarby swoje, ofiarowali Jezusowi złoto, kadzidło i myrę. Znaczyło to, że przez nie wyznali Pana Jezusa Bogiem, Człowiekiem i Królem. Złoto składa się królom w daninie, kadzidło ofiarujemy Bogu podczas nabożeństw, a myra miała służyć do zabalzamowania, czyli namaszczenia człowieczego ciała Chrystusowego przed złożeniem do grobu.

W takiem też znaczeniu Kościół katolicki poświęca te trzy rzeczy w uroczystość świętych Trzech Króli.

Wracając do domu uradowani trzej Królowie, chcieli oznajmić Herodowi wszyst-

ko, co znaleźli, ale przestrzeżeni przez anioła inną drogą wrócili do krajów swoich, co nietylko przeszkodziło zamiarom Heroda, ale nadto naucza nas, iż kto znalazł Chrystusa i uczcił go godnie, nie powinien chodzić drogą dawnych błędów, jako też również unikać ludzi bezbożnych, słuchać głosu Boga, objawienia boskiego w piśmie św. i zakonie, nie pozwolić się z drogi sprowadzić nawet tak wysoko postawionym ludziom jak Heród, zawiadowca ziemi żydowskiej!

Ciała świętych Trzech Króli spoczywają w wspaniałej katedrze kolońskiej nad Renem, gdzie wielkiej czci doznawają. Jakim sposobem się tam dostały, historya opisuje jak następuje:

W roku 323 po narodzeniu Chrystusa objął rządy nad wielkiem państwem rzymskiem cesarz Konstantyn. Byłto pierwszy cesarz chrześciański, za jego panowania ustało prześladowanie chrześcian. Matka jego była św. Helena. Dla pomnożenia wiary chrześciańskiej kazała wiele kościołów, mianowicie w ziemi świętej wybudować. Kościoły te wyposażono relikwiami męczenników i innych świętych. Napoczęto więc z wielką skwapliwością świętych tych szczątek szukać. Helena sama podróżowała po ziemi świętej, śledząc za drogocennemi pamiątkami po świętych Pańskich. Dowiedziała się także, gdzie miały spoczywać ciała tych, którzy najpierw oddali cześć nowonarodzonemu Zbawicielowi świata. Udała się więc na to miejsce, gdzie też rzeczywiście znalazłą szczątki świętych Trzech Króli.

Z wielką uroczystością sprowadziła Helena święte te relikwije do stolicy swojej Konstantynopola.

Naonczas żył w Grecyi pewien pobożny mąż imieniem Eustorgiusz. Tegoż posłał Konstantyn jako namiestnika do Włoch, gdzie powierzonemi władzy swej krajami tak mądrze i sprawiedliwie rządził, że go duchowieństwo i naród medyolański biskupem swym obrał. Powiadają że to on sprowadził ciała świętych Trzech Króli z Konstantynopola do Medyolanu, gdzie na cześć ich wystawił kościół i w marmurowej kaplicy relikwie złożył. Tam je czczono aż do roku 1158.

W roku tym przybył cesarz Fryderyk rudobrody do Medyolanu, obległszy to miasto. Miaszkańcy obawiając się o drogie te relikwije, przenieśli je z kościoła świętego Eustorgiusza do silnej wieży wśród miasta.

Gdy w roku 1163 tenże cesarz powtórnie to miasto zawojował, zdobył i zburzył, uważano ciała św. Trzech Króli za najdrogocenniejszą zdobycz. Rainold z Dassel, który był arcybiskupem kolońskim i doradzcą cesarza, zabrawszy je ze sobą, powrócił do Niemiec 11-go Czerwca 1164. Droga jego prowadziła przez Szwajcaryą wzdłuż Renu i równała się pochodowi tryumfalnemu. Wszędzie przyjmowano świętości te z największą czcią i nabożeństwem. W wielu miejscach, przez które pochód przechodził, budowano kościoły i ółtarze na cześć św. Trzech Króli.

Arcyciskup Reinold idąc wzdłuż rzeki Renu, przybył aż do miejscowości Remagen pod Bonn. A ponieważ musiał napowrót do Włoch powrócić, oddał święte relikwie ówczesnemu proboszczowi katedralnemu, Filipowi Heinsbergowi, który je 23-go Lipca 1164 do Kolonii wprowadził. Przyjęcie ich było świetne i wspaniałe. Złożono je najpierw w starym tumie, zbudowanym przez cesarza Karola Wielkiego i czczono jako patronów miasta. Od tego czasu przyjęło miasto Kolonia do swego herbu trzy korony jako godło, a dzień 23. Lipca obchodzi ludność uroczyście. W roku 1248 został stary tum koloński przez pożar zniszczony. Wybudowano więc nowy i wspaniały tum,*) a w nim piękną kaplicę, w której wystawiono śte szczątki Trzech Króli ku ogólnej czci ze strony wiernych. Z początku ogrodzone były tylko prostemi kratami żelaznemi, dopiero w roku 1688 łazał arcybiskup Max Henryk wystawić piękny marmurowy grobowiec, w którym się mieści naczynie zawierające św. relikwie, naczynie to, czyli relikwiarz, ozdobione jest 1240 drogimi kamieniami i perłami.

W roku 1794 zbliżyła się nieprzyjacielska armia francuzka ku Kolonii. Z obawy przed grabieżą najezdzców ukryto drogi skarb w Arensbergu na prawym brzegu rzeki Renu, później jeszcze w różnych innych miejscach, wkończu w Frankfurcie nad Menem. Mężowie przechowujący skarb ten u siebie, popadli w nędzę, napoczęli więc niektóre kosztowności z relikwiarza spieniężać. Pewnemu panu udało się dalszemu zniweczeniu zapobiedz i świętości do Kolonii napowrót sprowadzić. Stało się to w roku 1808. Dwanaście lat później poważył się jakiś bezbożnik włamać do kaplicy św. Trzech Króli i skarb święty zagrabić. Niedługo jednak złoczyńcę wykryto, a zrabowane klejnoty napowrót odzyskano.

*) Zobacz rycinę w zeszycie 7, rocznik I. strona 200. Opis na stronie 220.

Dwunastoletnie Dziecię Jezus w kościele Jerozolimskim.

(Z ryciną.)

W niedzielę pierwszą po Świętych Trzech Królach czyta nam Kościół św. Ewangelią napisaną u Łukasza św. w rozdziale 2: »I stało się, po trzech dniach znaleźli Go w kościele siedzącego w pośrodku doktorów, a on ich słucha i pyta ich. A zdumiewali się wszyscy którzy słuchali, rozumowi i odpowiedziom Jego.«



W ogromnym gmachu świątyni jerozolimskiej znajdował się osobny przysionek, w którym uczeni prawa i pisma się zbierali, aby księgi prawa świętego i proroków odczytywać i ludowi zgromadzonemu wykładać ich treść i znaczenie. Słuchaczom wolno było przedkładać swe wątpliwości, czynić pytania i zarzuty. W tym to przedsionku Jezus spędził większą część onych godzin, podczas których rodzice ciężko strapieni szukali Go. — Lecz skoro tylko miły Zbawiciel ich spostrzegł, bieży naprzeciw świętej parze. Godzina Pana minęła, niebieskie posłannictwo, o ile doń już teraz był wezwany, już spełnione, Syn Boży dokonał, co było jego zadaniem. Teraz znów jako Syn człowieczy w posłuszeństwie i pokorze należał do swych rodziców najukochańszych.

Wzór tu mają rodzice, aby się troszczyli o swe dzieci i nie zostawiali same. Dzieci powinny zawsze być pod okiem rodziców. Wzór tu mają dzieci, aby czas spędzały na rzeczach użytecznych dla duszy, ducha i rozumu, i aby albo rodziców albo mądrych ludzi się trzymały.

Ks. Antoni Stabik

proboszcz Michałkowski.

(Z ryciną.)

Urodził się z biednych rodziców 13-go Czerwca 1807 w Mikołowie, powiecie pszczyńskim na Górnym Szląsku. Po opuszczeniu szkoły elementarnej w swem rodzinnem mieście, zamierzał poświęcić się rzemiosłu swego ojca, szewiectwu. Lecz Bóg niedościgły w wyrokach swoich zrządził, że utalentowany chłopak, zamiast usiąść na stołku szewieckim, zasiadł na ławie w gimnazyum gliwickim, które po 6 latach z chlubą opuściwszy, udał się na uniwersytet wrocławski, aby się do stanu duchownego przygotować, czego też dostąpił, zostawszy w r. 1833 na kapłana wyświęcony. Jako kapelan przebywał jakiś czas w Pilchowicach, następnie jako prebendarz w swem rodzinnem mieście, Mikołowie, zkąd się dostał na probostwo w Michałkowicach. Tutaj czekała go trudna praca, bo w obszernej natenczas parafii tej oprócz pomnożenia chwały boskiej pomiędzy swemi owieczkami, miał do walczenia z dwoma nieprzyjaciółmi. Natenczas bowiem, jak w ogóle na Górnym Szląsku, zagnieździł się pomiędzy ludem nałóg pijaństwa. Oprócz tego smutnej pamięci odszczepieniec Ronge, który był nauczycielem domowym w jego parafii, wzburzył umysły owieczek prawowiernych. Lecz za pomocą boską udało się gorliwością kaznodziejską i łagodnością serca ks. Stabikowi wszelkie te trudności i przeciwności zwalczyć.

Całe życie jego było nieprzerwanem pasmem niezmordowanej pracy, cichej szczodrobliwości i gościnności.

Kto zna trudy kapłańskie w hutniczych okolicach Górnego Szląska, zwłaszcza w czasie wielkanocnej spowiedzi, gdzie kilka tysięcy penitentów na jednego kapłana czeka, dalej owe liczne i uciążliwe zwiedzania chorych, którym potrzeba ostatnich pociech religijnych i to w czasach powtarzającego się tak często na Górnym Szląsku tyfusu, kto wie, ile razy trzeba zaopatrywać na śmierć konających robotników hutniczych i górniczych przy pracy swej okropnie pokaleczonych, kto wszystkie te trudy zna, które śp. ks. Antoni Stabik chętnie znosił przez lat czterdzieści, ten z całego serca życzyć będzie niebożczykowi wiecznego odpoczynku i wiecznej nagrody w królestwie niebieskiem.

W młodszych latach swoich był ś. p. Antoni Stabik jednym z najlepszych i najpopularniejszych polskich kaznodziei na Górnym Szląsku. Gdy śp. kardynał Diepenbrok kościół w Niemieckich Piekarach poświęcał, gdzie go wzruszyła szczera wiara i pobożność górnoszląskiego ludu, powiedział: „Palec mej ręki dałbym sobie chętnie odjąć, gdym do tego ludu mógł w jego języku słowo miłości, pociechy i pokrzepienią serca przemówić!“ — Wtenczas śp. Antoni Stabik miał ten zaszczyt słowa te w obecności kardynała zgromadzonemu ludowi po polsku przetłumaczyć. Mało będzie kapłanów, którzyby tyle kazań przy uroczystościach prymicyjnych mieli, jak nasz śp. ks. Antoni Stabik, bo ich aż 47 naliczył i tylko nieszczęsna walka kulturna mu w tem przeszkodziła, że nie był w stanie obchodzić jubileuszu 50-tego kazania przy prymicyach kapłańskich, nad czem bardzo ubolewał.

Szczodrobliwość niebożczyka nie znała granic, wspierał ile zasoby starczyły, nie pytając, czy żebrzący o wsparcie jest godnym lub niegodnym jałmużny, chcąc w tem naśladować Mistrza swego, który słońcu swemu nad godnymi i niegodnymi świecić pozwala. Powszechnie wiadomem było, że ks. Stabik pomimo donośnej swej posady, nigdy nie miał wiele grosza w domu.

Niemniej serdeczną była także gościnność niebożczyka ks. Antoniego Stabika, a grono przyjaciół jego stanowili mężowie, z których się Górny Szląsk szczycić może, wymienimy tutaj tylko imiona ks. kanonika Ficka, sufragana ks. Włodarskiego, radzcy szkólnego ks. Połomskiego i wielu innych wysokich osób stanu duchownego i świeckiego. Tak samo na probostwach, gdzie tylko zawitał nasz ksiądz Antoni, panowała szczera radość, bo też w młodszych latach jego, rzadko która uroczystość jubileuszowa jego przyjaciół się odbyła, którejby nie był uczcił nietylko swą osobą lecz także i polską piosnką z niezwykłym dowcipem i humorem napisaną. Zbiór takich śpiewów wyszedł już w roku 1848 pod tytułem „Żarty Nieżarty“ nakładem własnym. Rzadka ta książeczka będzie drogą pamiątką dla przyjacieli jego.

W roku 1864 zwiedził w towarzystwie zmarłego już dziekana ks. Pressfreunda, kapelana Wengera z Biskupic i teraźniejszego proboszcza Gałuszki z Szurgoszczy Włochy. Zkąd powróciwszy, wydał „Wspomnienia z podróży do Włoch górnych i dolnych.“

Do wychodzącego w r. 1868 „Zwiastuna Górnoszląskiego“ także wiele pisywał. Poprzednio już był wydał w polskim przekładzie „Filoteę“.

Przez kilka lat sprawował urząd powiatowego inspektora szkólnego.

Uparta choroba trapiła ks. Antoniego Stabika przez kilkanaście lat, był to nieznośny kaszel. Kto go pierwszy raz widział lub słyszał kucającego, temu się zdawało, że kaszel ten go zadusi lub mu płuca rozerwie, a jednak dożył 25-letniego jubileuszu swego kucania, który w gronie swych ścisłych przyjaciół obchodził.

Do ostatnich dni szczęśliwych życia swego liczył dzień w którym mu Pan Bóg dozwolił dożyć 50-letniego jubileuszu swego kapłaństwa, kiedy go Najprzewielebniejszy Książe-Biskup swym radzcą duchownym mianował i gdzie mu liczne grono szczerych przyjaciół z uszczęśliwionymi parafianami mnogie dowody przyjaźni, miłości i czci składało. Drugim ważnym dniem był dzień poświęcenia nowowybudowanego kościoła w Siemianowicach, którą jako samodzielną parafią od michałkowickiej odłączono i gdzie bratanek jego ks. Hugo St bik, także już w Bogu spoczywający, duszpasterstwo objął.

W ostatnich latach życia ks. Antoni Stabik zaniewidział, a gdy niespodzianie śmierć zabrała najukochańszego jego bratanka, ks. Hugona, złamany na siłach żalem i smutkiem, w modlitwie szukał pociechy, aż i onego Pan Bóg powołał do siebie, po koronę wiecznej chwały.

Zmarł 3. Września 1887 w 81. roku życia swego.

Niech odpoczywa w Bogu!

Jadwiga, królowa Polska.

(Z ryciną.)

Sławnych miała Polska królów i panujących. Nie było takich, aby uciskali lud, wyzyskiwali kraj, coby napadali sąsiadów i zabierali im kraje. Książęta i królowie polscy bronili tylko tego, co do kraju należało, pomagali niewinnie zaczepionym, a kraj chyba powiększali przez miłość i w dobry sposób.

Do najlepszych panujących, jacy siedzieli na tronie polskim, należy Jadwiga, królowa, żona Władysława Jagiełły.

Ojciec jej, Ludwik, był królem węgierskim i polskim. Nie miał syna, dla tego ułożył się z panami polskimi tak, że po jego śmierci wybiorą królem męża jednej z jego córek, a miał ich dwie, Maryą i Jadwigę. Marya była wydana za Zygmunta markgrafa brandenburskiego, a Jadwiga miała dopiero 12 lat, kiedy ojciec umarł.

W Polsce nie był następcą króla syn jego, ani córka, tron królewski nie był dziedziczny. Lecz po śmierci króla panowie tj. szlachta wielka i mała i księża zjeżdżali się na wybory, czyli elekcyą króla nowego. Wybierali ile możności następcę z rodziny dawnego króla, lecz mogli wybrać i zupełnie obcego. Po śmierci króla Ludwika chciano więc tron oddać jednej z jego córek, czyli raczej mężowi jej. Lecz nie było zgody, której? Jedni chcieli Maryą i męża jej markgrafa Zygmunta, który też zaraz do Polski przybył, aby się o tron starać. Drudzy byli za Jadwigą, choć młodą, aby sobie mogła obrać później męża zdatnego na króla, bo Zygmunt był pochodzenia niemieckiego, a Niemcy od dawien dawna nie byli przychylni Polakom. Żona zmarłego króla, Elżbieta, wolała, aby Jadwiga została królową polską. Lecz zamiast zaraz ją przysłać lub przywieść do Polski, bawiła z nią we Węgrzech. Tymczasem panowie jedni za Zygmuntem, drudzy za Jadwigą, a inni jeszcze za Ziemowitem, z rodziny dawniejszych królów polskich, stawali. Miał jeden pan do drugiego i swoje żale, każdy miał swoje interesa, zaczęli więc tedy pomiędzy sobą wojny prowadzić, niszczyć siebie i kraj niepotrzebnie.

Starsza córka króla Ludwika, Marya, markgrafini brandenburgska, sama się zrzekła korony polskiej, i ustąpiła Jadwidze, która była zaręczona z niemieckim księciem austryackim, Wilhelmem. To się znowu Polakom nie podobało. Kiedy matka-królowa nie przywoziła Jadwigi do Polski, spory i bójki pomiędzy panami trwały dalej, w których brali udział książęta szląscy, wtencza jeszcze polscy, i mający posiadłości w różnych częściach Polski.

Aby zakończyć te niesnaski, niektórzy panowie jeżdżali do Węgier, aby nakłonić królową Elżbietę, iżby córkę swoją, Jadwigę, przysłała do Polski. Wreszcie zgodziła się królowa na to, i wysłała córkę w dwoma biskupami, z kosztowną wyprawą od pereł, drogich kamieni, złota i srebra, sukien, kobiercy i t. d. Panowie, duchowni i świeccy, lud przyjmowali Jadwigę w Krakowie. Ogromnie się wszystkim piękna królewna podobała, i nie czekano aż się ożeni, aby z mężem panowała, lecz ją 15. Października 1384 r. w dzień jej imienin, koronowano. Koronacyą wykonał na Wawelu w Krakowie Bodzanta, arcybiskup gnieźnieński i biskupi Jan Krakowski, Jan Władysławski, Dobrogost Poznański.

Z Polską sąsiadowała Litwa, z miastem stołecznem Wilnem. Kraj to był wtenczas jeszcze pogański, a księciem był Jagiełło. Opatrzność boska sprawiła, że Jagiełło usłyszał o piękności, dobroci i rozumie Jadwigi, i postanowił pojąć ją za żonę. Wysłał tedy dwóch swoich braci z poselstwem do Krakowa, i oznajmił, że różni królowie i Zakon Krzyżacki go namawiali do chrześcijaństwa, lecz daremnie. Gdyby jednak Jadwiga go chciała, toby sam został chrześcijaninem z całym ludem, jeńcówby powypuszczał z niewoli, nawet swe kraje Litwę i Żmudź chciał z Polską połączyć, ziemie dawniej do Polski należące chciał znowu dla tego kraju odzyskać.

Do poselstwa litewskiego przyłączyło się kilku panów polskich i pojechali do matki królowej na Węgry. Królowa Elżbieta ze zięciem swym Zygmuntem przyjęła poselstwo w Budzyniu, i zdała sprawę na panów polskich. Ci zwołali zebranie, na którem różne były zdania, lecz kiedy rozważono, jak wielkie korzyści wypadną dla Polski z połączenia z potężnym narodem litewskim, jak wielką obronę zyska się przeciw nieprzyjaciołom, ile straconej ziemi się nabędzie, ile to dusz do chrześciaństwa się nawróci, to zgodzono się na to, że Jadwiga powinna iść za Jagiełłę. Młoda królowa kochała księcia Wilhelma, którego znała, który był i ładny i wykształcony. A o Jagielle donosiły jej złe języki, że to nieokrzesany barbarzyniec, bo to przy każdem małżeństwie, czy pańskiem, czy chłopskiem, są tacy co namawiają i tacy, co odmawiają. Panowie posłali do Jagiełły, aby zrobić umowę. Tymczasem książę Wilhelm przyjechał z wielkim dworem do Krakowa i wyprawiał uczty dla Jadwigi. Niepodobało się to jednak panom i wypędzili Wilhelma z Krakowa.

Nadchodził już też Jagiełło ku Krakowu. Jadwiga wystrachana posłała tajemnie na zwiady, czy też Jagiełło taki brzydki i surowy jak mówiono. Poseł pocieszył ją jednak, że to wcale przystojny i miły pan, obyczajów poważnych i książęcych. Jagiełłę wszędzie przyjmowali panowie i duchowieństwo aż do Krakowa, gdzie naturalnie przyjęcie było najwspanialsze. Jadwiga ogromnie się spodobała księciu litewskiemu. Książęta litewscy Witowd, Boris i Świdrygiełło złożyli królowej bogate dary w perłach, złocie, srebrze, drogich ubiorach. Wilhelm austryacki w tym czasie przebrany ukrywał się w Krakowie, lecz go poznano i musiał uciekać.

14. Lutego 1386 r. arcybiskup Bodzanta ochrzcił Jagiełłę i dał mu na imię Władysław. Inni panowie litewscy też przyjęli chrzest. Niektórzy byli chrześcijaninami, lecz ruskiego obrządku. W tym samym dniu Jagiełło poprzysiągł przed ółtarzem, że wszystkie swe kraje litewskie i ruskie połączy z Polską i z kościołem rzymsko-katolickim. Potem otrzymał ślub z Jadwigą. Czwartego dnia po ślubie nastąpiła koronacya króla, który nazajutrz odbierał przysięgę wierności od mieszczan, siedząc na tronie przed ratuszem na rynku ustawionym.

Tak to Polacy łączyli sąsiednie kraje ze sobą miłością, a nie wojną, nie gwałtem, nie rozlewem krwi. (Dokończenie nastąpi).

BARTEK ŁATKA

czyli

Z czapką na bakier, z sękatą laską w ręku i sporem zawiniątkiem na ple-

i zrobił testament.

Z czapką na bakier, z sękatą laską w ręku i sporem zawiniątkiem na plecach, sunie gościncem Bartek Łatka i tak ogniście gwiżdże i przyśpiewuje, że jak to mówią: aż kamienie skakają na drodze.

I na bok z nosem, kiedy idzie Bartek Łatka! boć aż strach zbiera, tak wygląda junacko i zawadyacko.

Alić jak i djabeł nie taki straszny jak go malują, tak i nasz Bartek nie taki zawaligóra, jakby się zdawało z miny i czupryny; owszem, jak mówią ludzie: poczciwe to człeczysko, a choć niejednemu łatkę przylepi, toć nie można mu tego brać za złe, bo już takie jego rzemiosło.

Bartek jest sobie szewcem wędrownym, łata biedę jak może, a dziury jak umie, i wesoło, swobodnie, z całym warsztatem na plecach, włóczy się ze wsi do wsi, a gdzie się pokaże, to już ratunku nie ma, tak się walą i tłoczą do niego ludziska.

Boć nie ma co mówić: Bartek Łatka, majster nad majstrami. Choćby but był dziurawy jak stary przetak, Bartek go połata, że wygląda jak nowy; ale nie dość na tem, Bartek także od ucha rzępoli na skrzypcach, że choćbyś się przykuł do ziemi, to nogi same podrygują, jakby kto szpilkami kłuł w pięty.

A do tego jak wam zacznie bajdurzyć, przypowiadać, przyśpiewywać, to tylko gębę rozdziwiaj a pilnuj się, abyś uszu nie



Piramidy. (Zob. objaśnienia rycin.)



Dziecko Nubijskie. (Zob. objaśnienia rycin.)

pogubił. Choćbyś z frasunku nos zwiesił na kwintę, to ci go pocieszny Bartek wyprostuje prędzej jeszcze, niż wykrzywiony napiętek, a choćby ci troski gęstemi zmarszczkami osiadły na czole, to je rozpędzi i wygładzi czoło jakby skórę nabił na kopyto.

Wśród śmiechu i gwaru obłatał całą wieś sąsiednią. a teraz wali wprost do Niklewic, niosąc cały pęk nowych podeszew i przyszczypków.

Było to jeszcze bardzo rano, słońce ledwo zeszło na niebie, Bartek przyspiesza kroku, boć to już pod nosem niklewicka karczma, a jej arendarz, Izak Gluecksmann ma zawsze dobrą wódkę, a nasz Bartek bez śniadania wyszedł w drogę przed wschodem słońca i radby się już pokrzepić uczciwie.

Za kilka chwil dopadł nareszcie karczmy i z trzaskiem wszedł do szynkowni.

Stanął w progu i patrzy, a w karczmie krzyk i lament — istna Sodoma i Gomora.

Izak jak opętany biega po szynkowni, rwie brodę i pejsy, zawraca oczy, zgrzyta zębami, jęczy w niebogłosy: aj waj! Ani uważał nawet, że Bartek wszedł do szynkowni, tylkó ciągle płacze i lamentuje, a za nim jeszcze głośniej zawodzi jego żona.

— Cóż się stało! — myśli sobie Bartek. — Hej Izak! — zawołał głośno — co to wam takiego?

Ale Izak tylko głową kiwnął, zęby zacisnął i znowu jęknął:

— Aj waj! ocher mir!

— No Izaku! gadajcie co macie za frasunek, może ja wam poradzę?

Żyd znowu jęknął ciężko i ręką machnął, ale nagle wpatrzył się na Bartka, rozdziawił gębę i wyłupił oczy, jakby mu jakaś myśl szczęśliwa zwolna przychodziła do głowy.

Aż tu nagle uderzył się po czole, na łokieć podskoczył w górę, wybił hołubca obcasami, jak przy obertasie.

— Aj waj, Bartku! — zawołał prędko — to Pan Bóg ciebie tu nadniósł, ty mnie musisz poratować w tem grojse, grojse nieszczęściu!

— I cóż to wam się przytrafiło? — pyta Bartek.

Ale żyd co tchu poskoczył do szynkfasu, nalał największy kieliszek z najlepszej flaszki i już to niesie do Bartka.

— Ny, Bartku złoty, ja was duże kocham — prawi — wy mnie musicie poratować, panie majster.

— Ej, — myśli sobie Bartek — coś źle koło żyda.

— Bartku, majsterku, aj waj, ja mam wielkie nieszczęście — woła żyd dalej i nowy Bartoszowi nalewa kieliszek — napijcie się majstruniu, ja wam coś będę powiedzieć.

I chwyta Bartka wpoły, sadza go na ławę i podaje mu kęs najbielszego chleba sabasowego.

— Przikąszcie sobie majstruniu, ja tego nie będę rachować, bo ja was zawsze bul duże kochał, ja do was mam zaufanie jak do rodzonego brat.

Bartek Łatka wypił drugi kieliszek wódki i pchając w gębę spory kawał chleba pyta ciekawie:

— No gadajcież, co wam takiego?

Żyd pokiwał głową i potargał się za brodę:

— Aj, waj, majstruniu — powiada — wielkie mam nieszczęście. Ja wam będę powiedzieć wszystko, bo wy mnie wyratujecie z tego kalamacyi. Widzieliście sami: przy mnie mieszkał mój teść Srul, ja jemu dogadzował we wszystkiem, co wiecie, on ma jeszcze drugiego zięcia, a tylko jednego murowanego kamienica na Podgórzu, on obiecował mnie zapisać całego kamienica, a drugiemu żęciowi Szmulowi, co jest wielki lajdak, a ganew, a szwarce jur, nie miał już dać ani pół feniga. Ja jego wyżywiał, ja jemu dawal wszystkiego i ciągle ja jemu gadal: Srulu! róbcie testament. A on zawsze: ny, ny jeszcze nie będę wyciągnąć nogów. Ny ja się tem kontentował, ny i ja proszę was majstruniu, powiedzcie sami, co on mi zrobił, on tej nocy umarł nagle, on nie zrobił testament, on nie zapisował mi całego kamienica.

— Ha, no — rzekł Bartek — to się musicie podzielić kamienicą z szwagrem Szmulem.

Ale Izak na to podskoczył w górę, jakby go kto świedrem połechtał pod pięty.

— Co, połowy kamienica? — wrzasnął jak opętany — ani małego kawałek ja jemu nie dam temu lajdak, temu ganew! Żebyście wy mnie tylko panie majster chcieli dopomożyć, ny, toby wszystko było dobrze.

— A co ja wam mogę pomódz? — rzekł Bartek.

A żyd go obiema rękami chwycił w pół i zawołał prędko:

— Słuchajcie majstruniu, jak wy mi będziecie dopomożyć. Ny, to ja wam powiadam, nie będziecie tego żałować. Ja was będę zalecać do wszystkich żydów w Dembicy, ja was będę prowadzić do samego rabina, a wy wszystkim będziecie łatać trzewików i pantoflów.

— O i skóry im wyłatam, jak o to chodzi — przerwał Bartek wesoło.

— Będziecie łatać, będziecie łatać, ja wam powiadam — zapewniał żyd co żywo, ale musicie mi dopomożyć.

— Ale jak dopomódz?

— Ny, ja wam powiem jak; na to już moja gluf (głowa).

I przysunąwszy się do niego, szeptał przebiegły żyd dalej:

— Słuchajcie, nikt jeszcze nie wie, że Srul umarł; ja będę powiedzieć, że on tylko chory, bardzo chory. Wy się będziecie położyć w jego łóżku, wy będziecie stękać tak: aj waj, ocher mir, a ja będę biegnąć do wójta, do przysiężnych, ja będę przyprowadzić pisarza, a wy poprzykrywajcie się pierzyną i wy będziecie niby Srul umierać i niby on będziecie robić testament. Powiecie, że Szmul wielki łajdak, wielki ganew, że won waszą krew jadł, że won wam połamał zdrowie i wy jemu nie zapisujecie ani złamanego fenig, a cały kamienic to ma być dla mnie, dla Izaka Gluecksmann. Ny, mu nawet nie mówił inaczej tylko „panie majstrze“, a gdyby się był Bartek jeszcze trochę targował, byłby go zapewne zrobił cechmistrzem.

Bartek dziwnie się jakoś uśmiecha i coś niedobrego patrzy mu z oczu, ale koniec końców przystał nareszcie na prośbę żyda.

Izak mało ze skóry nie wyskoczył z radości, poleciał co tchu do alkierza, wywlókł nieżywego starego Srula z łóżka i schował do komory, a Bartka Łatkę wpakował na łóżko, poobwijał biedaka całego w poduszki i pierzynę, tak że mu nie było widać tylko oczy i kawał pejsa i brody, którą mu przyprawił, uciąwszy nożycami Srulowi.



Łaska. (Zob. objaśnienia rycin.)

napijcie się wódki, wy macie glimboki rozum, wy mnie zrozumiecie.

Ale Bartek zerwał się jak oparzony.

— Czyś oszalał żydzie, ja mam udawać umierającego Srula! — zawołał.

— Ny Bartku, Bartku, jaki wy raptusowaty — uspokajał go żyd — co wam to szkodzi, że wy będziecie umierać tak niby on. Was to nie będzie ani grajcar kosztować, a ja wam dam jeszcze parę złotych marków i będę was poprowadzić do rabina i wy jemu będziecie łatać trzewików i patynków szabasowych.

I nuż dalej prosić, błagać, zaklinać Bartka, mu obiecywać złote góry; ba! już

Bartek z przywiązanym pejsem i brodą wyciągnął się jak mógł najwygodniej na łóżku i zaczął udawać nieboszczyka, że Izakowi aż serce skakało z radości.

— Ny, ny, dobrze panie majster, ja teraz będę biegnąć po wójta i świadków i pisarza.

I jak szalony poleciał na wieś i narobił ogromnego hałasu, że jego teść umiera i chce robić testament.

Nie minęło pół godziny, a już przybyli do karczmy: wójt, przysięgli i pisarz w bobrowej czapce i siarczystej po same kostki kapocie. Żyd nasamprzód wszystkich traktuje najlepszą wódką i najbielszemi bułkami,

a pisarzowi wścibił nawet banknotę do ręki aby dobrze pisał testament. Bartek tymczasem pod pierzynami w alkierzu stęka i jęczy, żeby się kamień poruszył.

— Aj waj! — woła Izak i obiema rękami chwycił się za głowę — mój biedny Srul jak won jęczy strasznie, aż mi się nie dobrze robi w kiszkach. Idźcie panie wójcie, niech wam gada testament, a ja het wycieknę z domu, bo ja duże miękkiego serca. Tylko proszę was, nie rozkrywajcie tam starego, bo won nie może sapać wiater.

I wybiegł w samej rzeczy na dwór, a żonę zostawił przy szynkfasie.

Wójt tymczasem z przysięgłymi i pisarzem weszli do alkierza.

Poobwijany w żydowskie pierzyny Bartek, jęczał a jęczał aż uszy rozdzierało, a nic nie było widać z całej jego osoby, tylko kawał nosa i ten pejs przysztukowany.

— No, jak się tam macie Srulu — ozwał się wójt po ludzku.

— Aj ww... wwaj... ach... ch... ches mirr — skomlił udany pod pierzynami Srul — ja duże duże, duże chory... ja chcę robić testament... ja będę umrzeć.

— A co tam gadacie, daleko wam jeszcze do śmierci — pocieszał go wójt chrześciańskim sposobem. — A jeśli zasię już wam tak pilno robić testament, no to gadajcie wreszcie co chcecie, a pisarz to wszystko napisze, a my jako świadkowie potwierdzimy.

Udany Srul znowu okrutnie zajęczał i się wił i kręcił po łóżku, jakby mu kto gorącej smoły lał za skórę.

— Aj wwaj — lamentuje — tyle ludzi człowiek oszachrował na świecie, a śmierci ani rusz oszachrować!

— Co też gadacie, Srulu — upominał go wójt poważnie — zaczynajcie lepiej robić testament.

— Ny, macie recht — odpowiedział cienkim głosem Bartek -- piszcie, ja wam będzie gadać.

Pan pisarz furknął piórem po papierze, a udany Srul dyktował.

— Moje dwa żęci to wielkie szachraje. Szmul wart oszmnaście, a Izak dwadzieści bez dwa, ja ani jednemu ani drugiemu nic nie będę zapisować. Ja mam murowany dom na Podgórzy, ale z tego im będzie figa i guzik! Ten Szewc Bartek, co go nazywają Łatką, won bardzo dobry człowiek, won mi zadarmo łatał patynków, ja jemu przy was świadków zapisowuje całego dom ze wszystkiem śmieców.

Wójt i przysięgli posłupieli ze zadziwienia, a pisarz aż ogromnego żyda zrobił na papierze, tak zdumiał okropnie.

Ale że też wszyscy bardzo lubili wesołego Łatkę. więc radzi byli niezmiernie z tego i bardzo chętnie podpisali testament.

A udany Srul jęcząc i stękając pod pierzynami, odezwał się jeszcze:

— Ale proszę was, moiście wy ludzie, nie powiadajcie niczego Izakowi, bo wonby mi nie dał wumrzeć spokojnie. Zanieście testament do gerychtu, niech się dowie dopiero, kiedy ja już będzie wumrzeć.

Przyrzekli mu to wszyscy i prędko wynieśli się z alkierza, bo Srul jęczał tak okrutnie, że aż nie miło było słuchać.

Aliści ledwo weszli do szynkowni, a już przypada Izak i pyta:

— A co? a jak?

— Już jest testament — odpowiada wójt.

— A może won co zapisał Szmulowi? -- pyta Izak dalej.

— Figę mu zapisał — odpowiedział wójt i uśmiechnął się, a przysięgły dziwnie jakoś machnął ręką.

Izakowi mało serce nie wyskoczyło z radości.

— A gdzież testament? — zawołał.

— Pójdzie prosto do urzędu — odpowiedział wójt.

-- Ny, dobrze, dobrze — zawołał Izak spokojnie, pewny będąc, że całą kamienicę już ma w kieszeni.

Więc też jeszcze na nowo potraktował wszystkich wódką i bułkami, a jak tylko z karczmy wyszli, poskoczył do Bartka i nuż go ściskać na wszystkie strony.

Ale Bartek niecnota tylko się uśmiecha i oczyma mruga, a nic nie mówi ani słowa.

Tymczasem Izakowa pobiegła do komory i na nowo włożyła trupa do łóżka, a potem już oboje zaczęli wołać, że Srul jak tylko zrobił testament, tak zaraz oczy zamrużył na wieki.

Bartek zabrał swoje manatki i rzekł do Izaka:

— Żeby się nie wydało, że to ja udawał nieboszczyka, więc ani godzinę nie zabawię dłużej, ale pójdę, żeby mnie tu nikt nie widział.

Żyd jeszcze go uściskał serdecznie i flaszkę najlepszej wódki i cały tuzin bułek i kilka paczek tytoniu wepchnął mu do torby i pożegnał go najczulszemi słowy. A nie pamiętał niecnota na nasze dawne, uczciwe przysłowie: „kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada“. On kopał dołek pod swym szwagrem Szmulem, a tymczasem ani się domyślił, jakiego sam sobie nawarzył bigosu.

Bartek czmychnął z karczmy szczęśliwie.

Za kilka dni Izak i Szmul musieli stawić się w gerychcie, gdzie im przełożony odczytał testament nieboszczyka Srula. W pierwszej chwili, jakby piorun uderzył w obudwu, tak się przerazili na razie. Ale pierwszy opamiętał się Izak, poznając ja-

kiego figla wystrychnął mu Bartek. Poskoczył jak oparzony i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy, trzęsąc się jak we febrze:

— Wielmożny panie forstcher! to fałszywy testament, to grojsze wielkie szachrajstwo! to ten rozbójnik Bartek Łatka mi takiego narobił kłopot i kałamacyi!

I zaraz bez ogródki wyjawił wszystko co do kropli. I dostał się też z deszczu pod rynnę. Przyznawał się sam, że aby sobie przywłaszczyć całą kamienicę, chciał oszukać sąd i swego szwagra Szmula. Więc też zaraz za to przyznanie się powędrował do kozy, a potem do kryminału.

Bartkowi nic się nie stało, bo tłumaczył się, że kiedy żyd chciał go nakłonić do oszukaństwa, on umyślnie tak robił testament, aby się wykryło wszystko.

Biedny Izak dostał tylko pół kamienicy, a miał kosztów i zmartwienia co nie miara. Za to w kozie mógł sobie dobrze spamiętać przypowieść chrześciańską:

„Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada.“

OBJAŚNIENIA DO RYCIN.

Piramidy. W gorącym kraju afrykańskim, Egipcie, gdzie kiedyś żydzi byli w niewoli, niedaleko rzeki Nilu, poza żyzną doliną, na brzegu pustyni stoi tu i owdzie 67 budynków ogromnych czworobocznych, w górę coraz wyższych, śpiczastych w końcu. Są to groby dawnych królów egipskich, Faraonów. Skoro tylko wstąpił król na tron, zaraz kazał sobie taką piramidę czyli grób wielki i wspaniały budować na brzegu piaszczystej i skalistej pustyni niedaleko Nilu.

Każda z tych piramid to prawdziwa góra dochodząca do 230 łokci wysokości, ręką ludzką ułożona z ogromnych kamieni, których kilka set warstw piętrzy się jedne nad drugą. Wiek piramidy Kufa obliczają na przeszło 5000 lat.

Wewnątrz piramidy ciągną się ganki i izby. Ciekawym podróżnikom przyświecają w jej wnętrzu przewodnicy z pochodniami, prowadząc ich wąskimi korytarzami w górę do grobowca wyłożonego polirowanym granitem. Ściany zewnętrzne okryte są rzeźbionemi napisami egipskiemi, czyli hieroglifami. Zazwyczaj znajdują się groby królów pod ziemią wykute w skale, a rzadko w samej budowli piramidy.

Obrazek nasz na stronie 24 przedstawia trzy takie piramidy.

Pierwsza z nich wzniesiona przez króla Cheopsa, jest 408 łokci po każdej stronie szeroka, a 261 łokci wysoka; druga króla Chegrhena 376 łokci szeroka, a 233 łokci wysoka; trzecia króla Mycerina szeroka 287, wysoka, 95 łokci. Leżą one w bliskości Memphis i noszą dziś nazwę piramid Gizeh.

Podług opisów historyi, to taką piramidę budowało i stotysięcy robotników przez 30 lat. Z całego Egiptu spędzano ludzi do tej ogromnej pracy: jedni łamali kamienie w górach skalistych, inni je obrabiali, wygładzali, inni Nilem spławiali; byli i tacy, którzy od rzeki Nilu do miejsca, gdzie piramidę budowano, sypali groblę pochyłą, po której na walcach drewnianych posuwali ogromne kwadry kamieni aż na szczyt piramidy, a w miarę jak budowa piramidy wzrastała, sypywano wyższą groblę. Nowi robotnicy przychodzili zastępować starych, bo dużo biednego ludu ginęło od niezmiernej pracy nad siły i od wielkiego gorąca, które tam panuje.

Piramidy uważane są za jeden z cudów świata, jakie ręka ludzka potrafiła zdziałać.

Oprócz tego piramidy słynnemi się także stały z powodu zwycięztw, jakie jenerał wojsk francuzkich, Bonaparte, a późniejszy cesarz Francuzów Napoleon I. w pobliżu nich odniósł, pobiwszy 21-go Czerwca 1798 Mameluków. W bitwie tej poległo wielu Polaków, służących naówczas w wojsku francuzkiem.

Na stronnicy 25 umieściliśmy obrazek wyobrażający d z i e c k o n u b i j s k i e. Przy tej sposobności opowiemy cokolwiek o owym kraju, który zamieszkuje ten naród.

Kraj ten położony w północnej Afryce po obu brzegach rzeki Nilu, należy do Egiptu, około 13,500 mil kwadratowych obejmuje i ma przeszło milion mieszkańców.

Egipt znów jest w tej części świata, która się zwie Afryką, na granicy Azyi. Na południe od Egiptu leży Abisynia, Nubia. Otóż jak cała Afryka, tak też Egipt i Nubia leżą w pasie gorącym, nie bywa tam ani mrozu, ani śniegu, tylko wieczny upał i gorąco, a zimą nazywają ten czas, kiedy cokolwiek deszcze padają. Jednak nie wszędzie tam i deszcz pada; w Egipcie wcale go ludzie nie znają. Może się mili czytelnicy zadziwicie, jak się tam co rodzi, kiedy słońce wszystko wypali? — Takby się zdawało, a jednak Nubijczycy mają zwykle śliczne urodzaje. A jakim się to sposobem dzieje? — Otóż rzeka Nil, nad którą kraj ich leży, od niepamiętnych czasów rok rocznie występuje z brzegów i zalewa cały kraj. Dzieje się to zwykle w Sierpniu i do-

piero w Październiku wstępuje znów w swoje koryto i pozostawia na polach muł czyli szlam. Wtedy mieszkańcy tamtejsi nie orząc ani bronując, rzucają w wilgotny jeszcze szlam ziarno, które obficie rodzi. W Listopadzie cały kraj wygląda jak ogród pełny różnych owoców. Niedługo następują żniwa, a gdy raz zebrali, sieją po drugi, trzeci i czwarty raz dopóki ziemia nie wyschnie, co się dzieje około miesiąca Marca. Kwiecień jest dla mieszkańców tamtejszych najgorszy, tak jak dla nas przednówek.

Nubijczycy nie potrzebują się troszczyć o nawóz i uprawę gruntu, bo i bez tego im się rodzi ryż, bawełna, trzcina cukrowa i innne rzeczy.

Może niejeden z naszych gospodarzy pomyśli, że dla rólnika tam błogie czasy, bo nie potrzebuje mozolnie pracować i przemyśliwać jakby najlepiej grunt uprawić. Lecz nie radziłbym naszym rólnikom tego szczęścia próbować. Nubijczycy mają swoje niewygody, pracując wśród tak okropnych upałów, a oprócz tego grożą im różne niebezpieczeństwa od zwierząt drapieżnych.

Pomimo takiej urodzajności tamtejszej ziemi, naród jest biedny. a to dla tego, że silniejsi uciskają słabszych, rząd i bogatsi obdzierają lud.

Oświata tamtejszego ludu też jest bardzo licha; teraz dopiero podnosi się cokolwiek, bo się tam osiedlają Anglicy. Francuzi, Włosi itd., więc oni tam zaprowadzają oświatę i handel, ale też przytem bardzo wyzyskują, kraj dla swojej korzyści.

O religii dawniejszych i teraźniejszych Nubijczyków i Egipcyan napiszemy przy innej stósownej sposobności.

Łaska. Jestto rodzaj zwierząt ssących, drapieżnych; zębów przednich ma po 6, kły stożkowate, trzonowych z każdej strony po 6. Ciało wysmukłe, przedłużone, w karku zgrubiałe, z grzbietem wypukłym; głowa stożkowata z pyskiem krótszym od czaszki, uszy krótkie zaokrąglone, język gładki, nogi krótkie pięciopalcowe, palce błonią połączone, pod spodem nagie, pazury mierne, zakrzywione, bardzo ostre; ogon prawie zawsze tak długi, jak ciało, włosisty. Sierć długa, gęsta, delikatna, dubeltowa, składa się z bardzo gęstego jedwabistego podszycia i mniej gęstego, znacznie dłuższego włosa. Przy odchodku ma dwa gruczoły wydające ciecz ostrego, nieprzyjemnego zapachu. Do rodzaju tych zwierząt należy około 30 gatunków, żyjących na całym świecie, oprócz Australii; są bardzo drapieżne, duszą zwierzęta i ptaki daleko większe od siebie; głównie żywią się zwierzętami należącemi do rodzaju myszy, przezco gospodarzowi wyświadczają usługi, chociaż przy sposobności mordują więcej, niżeli spożyć mogą i dla tego często w drobiu lub gołębnikach znaczne wyrządzają szkody. Zwykle tylko w nocy na zdobycz wychodzą; po drzewach zręcznie łażą; niektóre dobrze pływają.

GOSPODARSTWO.

— **Jak można uczynić chleb pożywniejszym?** Wiadomą jest rzeczą, że chleb czarny pożywniejszym jest od białego, a to dla tego, bo otręby, które przy białym chlebie odpadają, zawierają rodzaj oleju, który dodaje ciału silne pożywienie. Jeśli jednak komu nie smakuje chleb czarny czyli razowy, niechaj uwarzy otręby we wodzie i tą wodą odcedzoną rozczyni chleb z mąki pytlowanej, a będzie miał chleb biały, a przytem znacznie większy i pożywniejszy.

— **Jak leczyć zmarznięcie?** Zmarznięte części ciała należy przez tarcie śniegiem lub okłady zimną wodą najpierw stopniowo pobudzić do życia, a dopiero później rozgrzewać ciało również stopniowo. Odmrożenie członków jest to także zmarznięcie, ale w mniejszym stopniu. Najlepiej je leczyć w lecie i jesieni, a to przez nacieranie kamforowym spirytusem, solą ze spirytusem lub nawet naftą. Gdy zaś nastanie już zima, należy odmrożone członki utrzymywać ciepło, osobliwie w nocy i pokrywać łagodnemi maściami: przetopionym łojem lub klejem stolarskim. Najlepiej jest jednak chronić się od mrożenia członków, a można tego uniknąć, skoro nie będziemy znienacka wychodzili z ciepła na zimno, powróciwszy zaś ze dworu, nie należy natychmiast stawać przy gorącym piecu.

— **Jak leczyć oparzelinę?** Na wszelkie oparzenia powinno się najpierw robić zimne okłady, a to aż do ustania bólu. Okłady te można robić z tartych kartofli, wilgotnej ziemi i t. d. Następnie najlepiej jest oparzone miejsce przykryć miękkiem, a więc starem płótnem, nasmarowanem świeżo przetopionem łojem, świeżem masłem niesolonem, śmietanką, oliwą, żółtkiem od jajka i t. d., które należy często zmieniać. Jeśli wskutek oparzenia zrobi się na ciele pęcherz i ten po kilku dniach nie zasycha, to można go przekłuć, wodę wypuścić, a zranione miejsce przykryć płótnem z tłustością. Czasem w skutek oparzenia mogą się owrzodzenia porobić, a przez to miejsca blizko siebie leżące, naprzykład palce, dziurki w nosie, usta lub miejsca pod pachą mogą się zlepiać, zaś później i zrosnąć. Żeby tego nie było, w szpary należy zakładać płócienne szmatki tłuszczem wysmarowane.

— **Chcąc bydło zimą zdrowe zachować,** należy raz na tydzień smarować mu nogi przy nasadzie dziegciem. Sposób ten niejedną oddala chorobę.

— **Piołun posileniem dla bydła i koni.** Weź garść piołunu i ugotuj w trzech kwartach piwa dobrego, a w potrzebie daj bydłu osłabionemu. Środek ten ma być wielce skuteczny.